Nr. 50. Poznań, dnia 16 Grudnia 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Rodacy!

Wobec ciężkiego losu, który nawiedził nas i stał się ogniową próbą naszych cnót, po dziadach i pradziadach odziedziczonych, wobec srogiej burzy, która zawisła szczególnie nad głowami i chatami szerokich mas ludu naszego, niżej podpisany komitet wzywa obywateli polsko-katolickich archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej, aby na

wiec polsko-katolicki

odbyć się mający **w poniedziałek dnia 17-go b. m. w Poznaniu na sali Lamberta** w południe o godzinie 12, wysłali ze wszech stron, z każdej parafii przedstawicieli, którzyby żywy wzięli udział w obradach nad naszą dolą i niedolą.

Program wieca następujący:

1. Zagajenie.
2. Wybór marszałka i ukonstytuowanie biura.
3. **Mecenas Woliński:** *Wspomnienie pośmiertne* poświęcone pamięci w Bogu spoczywającego ks. Arcypasterza.
4. **Poseł ks. prałat Stychel:** *Sprawa szkolna ze stanowiska Kościoła i konstytucyi pruskiej.*
5. **Mecenas dr. Mieczkowski:** *Obrona prawna wobec systemu kar szkolnych.*
6. **Ks. szambelan Laubitz:** *System pruski a Kościół.*
7. Petycya do Ojca św.; adres do władz duchownych; rezolucye.
8. **Poseł hr. Mielżyński:** *Dola ludu polskiego.*
9. *Zamknięcie wieca.*

Poseł dr. Antoni Chłapowski. Poseł mec. Chrzanowski. Poseł dr. Dziembowski. Ks. szambelan Kłos. Ks. prob. Kostencki. Ks. prob. Kościelski. Józef Kościelski. Ks. radca Kotecki. Dr. Krysiewicz. Walery Łebiński. Ks. radca Michalski. Mec. dr. Mieczkowski. Poseł hr. Mielżyński. Poseł radca Mizerski. Celestyn Rydlewski. Dr. M. Seyda. Poseł ks. prałat Stychel. Dr. Szymański. Mec. Woliński.

W obronie praw rodzicielskich.

Prawo rodziców do wychowywania dzieci swych jest stare jak świat. Bóg je dał ludzkości.

I kiedykolwiek rodzicom prawo to odbierano lub ukracano, wypadki te historya świata bez względu na pobudki nazywała co najmniej surowością, jeżeli nie barbarzyństwem.

W starej Grecyi słynną była *Sparta*. W Sparcie istniały, jak pamięcia historya sięga, narodowo-państwowe zakłady wychowawcze dla chłopców. W młodocianym wieku matki oddawały synów swoich do tych zakładów. Tutaj zaprawiano ich do rycerskiego rzemiosła, uczono poświęcać się dla ojczyzny. I istotnie Sparta i Spartanie słynęli z cnót obywatelskich. A choć historya nie szczędzi Spartanom zasłużonych pochwał, jednak sposobu takiego wychowania nie pochwala, nazywa go nazbyt surowym.

W wiekach nowszych, w czasach niewolnictwa odbieranie matkom dzieci nazywano barbarzyństwem, a kraje, w których niewolnictwo istniało, czasy te zaliczają nie do zaszczytnych epok swoich dziejów — lecz wstydzą ich się jako czasów sromu i wstydu.

Szczególnie nowe czasy, na całym świecie, dokąd dotarły hasła oświaty, nauki i kultury, na najwyższym piedestale stawiają prawa rodzicielskie, prawa do wychowywania własnych synów i cór.

Tam jedynie, gdzie rodzice sami dzieciom zły dawają przykład, gdzie nie nakłaniają ich do dobrego, gdzie raczej przykład życia rodzinnego w dusze dziecka wpaja trujący jad zgnilizny i zepsucia moralnego, tam jedynie uczyniono w prawie rodzicielskim wyłom — by z dzieci ich wychować ludzi pożytecznych społeczności.

Tam też się to słusznie dzieje — a dzieje się to w imię dobra ogółu.

Czyż jednak miarę tę wolno przykładać do tych rodziców, którzy, *by dzieci swoje wychować w zasadach kościoła katolickiego,* zakazują dzieciom swoim udziału w nauce im niezrozumiałej?

A jednak się to stało.

W *Zabrzu* na G. Śląsku wydał sąd ławniczy na podstawie § 1666 kodeksu cywilnego wyrok, na mocy którego inwalidzie kopalnianemu Józefowi Ży-

chowi i kolporterowi p. Piesze uchwalono: odebrać pierwszemu 12 letnią córeczkę Martę Żych, drugiemu 12 letnią córeczkę Maryę Piecha i 11 letniego Franciszka Piechę, ażeby oddać je na wychowanie albo innej *odpowiedniej* rodzinie, albo do *przymusowego* domu wychowawczego.

Wyrok ten dzięki interwencyi adwokata mec. Dr. Syedy z Katowic nie został wykonany — założono apelacyę do instancyi wyższej. Tymczasem powód do odebrania dzieci rodzicom upadł — pod grozą przymusowego wychowania dzieci zaprzestały domagać się polskiej nauki religii za pomocą biernego oporu przeciwko nauce niemieckiej.

Wyrok powyższy wydano dn. 9 listopada 1906 r. w kulturnem, nowożytnem, potężnem państwie pruskiem.

Wyrok ten wywołał nie tylko w naszem społeczeństwie, ale i w całym narodzie niemieckim wielkie oburzenie.

Cała opinia nasza, zgodnie i jednomyślnie domagała się poddania wyroku tego krytyce najwyższego ciała prawodawczego w Niemczech — parlamentu Rzeszy niemieckiej.

Interpelacya odpowiednia wniesiona została do biura parlamentarnego w połowie listopada, tuż po otwarciu parlamentu. Całe polskie społeczeństwo wyczekiwało obrad nad tym wyrokiem w ogromnem naprężeniu. Pragnęliśmy usłyszeć nie tylko krytyki wyroku, — ale sądu pierwszych mężów narodu niemieckiego, czy wyrok ten i jego uzasadnienie zgadza się z etyką, z ich moralnemi pojęciami.

Spodziewało się przedewszystkiem społeczeństwo nasze — wszakże tu chodzi o *religijne* wychowanie dzieci, o interes Kościoła — że obok polskich posłów w zwartym i zgodnym szeregu stanie *katolickie* centrum.

Srogi nas pod tym względem spotkał zawód. Zapomnieliśmy, że centrum nie tylko jest katolickiem stronnictwem, ale że ubiega się wśród partyi niemieckich o palmę pierwszeństwa — jako stronnictwo *patryotyczno-niemieckie*. Powód bowiem, że centrum nie może podpisać *wspólnie* z Polakami odnośnej interpelacyi, ponieważ w Kole polskiem zasiadają posłowie ,którzy zbyt ostro występują przeciwko ks. kardynałowi Koppowi, jest politycznie dziecinny, nie wytrzymuje żadnej krytyki, i ma wszelkie cechy lichego wybiegu, wykręcania się sianem z przykrej sytuacyi.

Polakom przyszli w pomoc posłowie z „partyi wolnomyślnej ludowej“ (Freisinnige Volkspartei). Po długich korowodach interpelacya polska przyszła wreszcie do skutku — miano naznaczyć dla niej osobny dzień obrad.

Ale cóż robi centrum? — Nie dość, że odmówiło Polakom swych podpisów, wniosło centrum własną w tej samej sprawie interpelacyę.

Pomyśleć: interesów Kościoła katolickiego bronią w parlamencie niemieckim, bronili dotąd wspólnie i zgodnie Polacy i centrowcy. Pomoc Polaków była centrowcom miła i przyjemna, gdy Polacy razem z nimi nastawiali piersi na szydercze pociski niedowiarków przeciwko *niemieckiemu* Kościołowi katolickiemu, kiedy jednakże należało się odwzajemnić za tę pomoc w interesie *polskiego* Kościoła katolickiego, centrowcy pokazali Polakom plecy, własną poszli drogą.

Rozłam ten pomiędzy Polakami a centrowcami w *katolickiej* sprawie, w sprawie dotyczącej *interesu katolickiego Kościoła,* nie mógł dla interpelacyi ani polskiej ani centrowej zjednać należytego poważania. I nie zasługa to wielkiej partyi centrowej, ale zasługa tysięcy maluczkich polskich dzieci, że pomimo tych wszystkich przejść sprawa interpelacyi polskiej w parlamencie budziła żywe zainteresowanie.

Obrady odnośne odbyły się dnia 5 grudnia — a toczyły się wspólnie nad polską i nad centrową interpelacyą.

* * *

Interpelacya polska

brzmi:

Rząd pruski, odwołując się do sądu opiekuńczego, usiłował na podstawie §§ 1666 i 1638 kodeksu cywilnego z powodów najzupełniej niedostatecznych, *odebrać* rodzicom przysługujące im na mocy § 1631 kodeksu cywilnego *prawo do wychowywania swych dzieci, nadzoru i przeznaczenia im miejsca pobytu.* W pojedyńczych wypadkach rząd uzyskał już sądowe uchwały, na mocy których dzieci za wypełnienie nakazów rodzicielskich wychowawczej władzy rodziców mają być odebrane a oddane na wychowanie przymusowe.

Zwracamy się do kanclerza Rzeszy z zapytaniem, *co zamyśla uczynić,* ażeby skutecznie przeciwdziałać takiemu pogwałceniu sumienia i praw rodzicielskich, zagwarantowanych kodeksem cywilnym i innymi ustawami, dotyczącemi duchowego i moralnego wychowania i kształcenia dzieci tak, jak to odpowiada przekonaniom i zasadom rodziców oraz przepisom Kościoła.

Interpelacya centrowa:

Czy wiadomo jest p. kanclerzowi Rzeszy, że dzieciom niemieckich obywateli odbiera się w pruskich szkołach wykład religii w ich ojczystym języku, i że nakazuje się przymusowe wychowanie dla tych dzieci, które w nauce religii nie odpowiadały po niemiecku? Co p. kanclerz Rzeszy zamierza uczynić, ażeby przeszkodzić sprzecznemu z przepisami Rzeszy krzywdzeniu praw rodzicielskiej opieki nad dziećmi?“

* * *

Interpelacye te w wiernem podajemy tłomaczeniu, a podajemy je dla tego, ponieważ w tej wielkiej przełomowej dla nas chwili stanowią one dokumenty historyczne. Pobieżny przegląd obu interpelacyi wskazuje dowodnie, że zmierzają one do jednego celu: chcą wykazać w obec parlamentu nadużycia władz pruskich i domagają się od kanclerza Rzeszy, ażeby nadużyciom tym zapobiegł.

Przebieg obrad.

W historycznym dniu, 5 grudnia 1906 r. przewodniczył obradom marszałek parlamentu hr. Ballestrem, znany centrowiec, wielki przeciwnik Polaków. Przy stole rady związkowej (Bundesrat) zasiadł sekretarz stanu Dr. Nieberding, który na zapytanie marszałka oświadcza gotowość natychmiastowego odpowiedzenia na obie interpelacye.

Do uzasadnienia polskiej interpelacyi zabiera głos

Ks. prałat Dr. Jażdżewski

na mocy uchwały Koła.

Powołując się na prawo poruszenia interpelacyi w parlamencie Rzeszy, podaje jako tło interpelacyi polskiej *znany zatarg między domem rodzicielskim a szkołą* — o naukę religii. Rząd dawniej szanował przyrodzone prawo narodów do zachowania swojego języka, do kształcenia go. Dowodzą tego prawa dawniejsze. Dopiero od r. 1873 w dzielnicach polskich poczęto usuwać z nauki religii w szkolę język polski.

Sprzeciwia się postępowanie to zasadzie Kościoła. A sprawami religii Kościół kieruje. Rząd by powinien zasady Kościoła uszanować, tem więcej, że zgodne one są z zasadami rozumu, nauki i wiedzy.

Dawniej przecież nawet i stronnictwa Polakom przeciwne (n. p. konserwatyści) zasady te szanowały. Dziś to się zmieniło — a rządowi widocznie chodzi o to, aby przez niemiecką naukę religii w szkole — wymusić niemieckie kazania w kościele, pomimo że cały episkopat pruski godzi się w zapatrywaniach swoich, że nauki religii w ojczystym należy udzielać języku.

I cóż się dzieje z powodu owego zatargu? Ks. prał. Jaździewski opisuje kary za opór, bicie, areszty, procesy o zmudę szkolną, przetrzymywanie dzieci ponad 14 rok w szkole, nasyłanie nauczycieli niedorzecznych, procesy gazet, rozwiązywanie wieców — wreszcie omawia wyrok zabrski i znany wypadek w Ugoszczu gdzie organiście Napiętkowi bez wyroku odebrano dzieci i oddano na przymusowe wychowanie.

„Dreszcze przechodzą — powiada mówca — jeśli się zważy, w jaki to sposób traktuje się ludność naszą, dla tego jedynie, że w dziedzinie religijnej ujawnia swoje zapatrywania i dążności, które każdy szlachetnie myślący jako słuszne uznać musi.“

Sąd zabrski nie dość, że uchwalił odebrać dwom ojcom dzieci, ale *oddalił* także ich wniosek o odroczenie wykonania tej uchwały.

Wyrok sądu zabrskiego nie zgadza się z § 1631 kod. cyw., który opiewa, że rodzicom wolno dzieci odebrać, jeżeli zaniedbują ich „duchowe i fizyczne wychowanie, albo winni są nieuczciwego i niemoralnego prowadzenia się dzieci“.

Zakaz odpowiadania po niemiecku w nauce religii żadną miarą nie może być podciągnięty pod ten paragraf, tem więcej, że podczas obrad nad § 1666 kod. cyw. oświadczono wyraźnie, że *sprawy religijne ani polityczne* nie mogą być powodem do zastosowania tego paragrafu.

„Uchwała sądowa w Zabrzu — powiada mówca — jest tak oburzająca, że nie można jej wcale odpowiednio scharakteryzować słowami parlamentarnemi“ — i prosi reprezentanta kanclerza Rzeszy, ażeby pouczył odnośnych sędziów o sposobie zastósowania omówionych §§ 1666, 1638 i 1631.

Pod koniec swego przemówienia zwraca ks. poseł Jaździewski uwagę na to że ludność polska pragnie pokoju, a nie walki — ale skoro walka ta powstała z winy władz, władze powinny poczynić kroki do uśmierzenia walki.

A są dwie ku temu drogi: albo władze *powrócą do rozsądnych zasad wychowawczych t. zn. zaprowadzą wykład polski w szkole — albo naukę religii całkowicie oddadzą w ręce Kościoła.*

Interpelacyę *centrową* uzasadnia **ks komisarz Glowatzky**. Powiada, że wobec *ważności* (?!) materyi centrum czuło się spowodowane do wniesienia osobnej interpelacyi. § 1631 gwarantuje rodzicom prawo wychowania dzieci. Centrum na podstawie prawa przyrodzonego i rozumnych zasad wychowawczych stoi na tem stanowisku, że **nauka religii każdego narodu odbywać się powinna w języku ojczystym.** Przecież *w szkołach rządowych w Afryce udziela się religii dzieciom tubylców w ich ojczystym języku.* **Do czego prawo mają hererzy — słusznie przyznawać się powinno i Polakom.** Litwini także pobierają naukę w swym ojczystym języku. Polacy górnośląscy są wobec tego bardzo pokrzywdzeni. Powie rząd, że nie ma nauczycieli umiejących po polsku — to niech *zaprowadzi naukę języka polskiego w seminaryach* w miejsce francuskiego i angielskiego. Przecież należałoby się co najmniej modlitwę na najniższych oddziałach odmawiać po polsku. W Rydze (rosyjskiej) świeżo odprawiano modły dziękczynne za to, że rząd pozwolił używać języka ojczystego. Gdy to uzyskamy, dużo niezadowolenia zniknie. Prawda, że dotąd dzięki zgodnemu wystąpieniu duchowieństwa udało się strajk szkolny na G. Śląsku wstrzymać. Jeżeli jednakże rząd i nadal słusznych życzeń górnośląskich nie uwzględni, to sam przyczyni się do szerzenia wielkopolskiej agitacyi. Wnosi wreszcie, aby kanclerz Rzeszy postarał się o to, ażeby polskie dzieci religii w ojczystym uczono języku.

Na interpelacye te odpowiedział w imieniu rady związkowej **sekretarz stanu p. dr. Nieberding**. Powiada naasampierw, że obie interpelacye zmierzają do tego samego celu, że jednakże interpelanci nie rozróżniali ściśle stanowiska *prawnego i politycznego* w swej interpelacyi. Chodzi tu przecież najpierw o sprawę *przymusowego udziału w niemieckiej nauce religii* — a z drugiej strony o sprawę *przymusowego wychowania.*

Co do pierwszego punktu *kanclerz Rzeszy nie ma na podstawie konstytucyi władzy, uczynić jakieśkolwiek kroki u rządu pruskiego* (wesołość i śmiech wśród posłów — Singer (socyalista) woła: przecież *kanclerz jest prezesem pruskich ministrów:*) — Jako taki nie został zainterpelowany — odpowiada Nieberding (wesołość).

Nieco więcej słuszności ma za sobą odwołanie się do § 1631 kod. cyw., ale też niezupełnie. *Bezwątpienia paragraf ten daje rodzicom prawo do wychowywania swoich dzieci,* ale *prawo to nie jest nienaruszalne.* Prawo rodzinne ma zakreślone swoje granice prawem *publicznem*, jakie w każdem państwie związkowem istnieje. Tutaj chodzi o publiczne prawo Prus w sprawie nauki szkolnej. Kanclerz Rzeszy naruszyłby prawo konstytucyjne Rzeszy względem Prus, gdyby zadość uczynił życzeniom interpelantów. **Kanclerz** Rzeszy zasadnie odmawia w tej sprawie dyskusyi i nie pozwala, by ktośkolwiek z przedstawicieli rządu Rzeszy w tej dyskusyi brał udział.

Co zaś dotyczy drugiego punktu odnoszącego się do wychowania przymusowego na podstawie § 1666 kod. cyw., *podług tego — o tem niema kwestyi, — nie można nakładać przymusowego wychowania, jeżeli dziecko tylko okazywało złą wolę albo opór.* Postępowanie może się zwracać tylko przeciwko ojcu, a mianowicie za to, jeżeli z jego winy wychowanie dziecka jest zagrożone. Kiedy wypadek ten zachodzi nie rozstrzyga rząd... lecz *sądy*, mianowicie *opiekuńcze;* przeciwko wyrokom tychże otwarta jest droga do wyższych instancyi.

Interpelacye wywierają wrażenie, jakoby tutaj chodziło o *planowe postępowanie.* **Muszę oświadczyć, że pruska władza państwowa ze sprawą tą nic niema wspólnego.** Ani minister oświecenia, ani minister spraw wewnętrznych, ani też minister sprawiedliwości nie wydali rozporządzenia, ażeby na podstawie § 1666 kod. cyw. wdrażano postępowania. Mowy interpelantów wywołały mniemanie, jakoby tu chodziło o wielką akcyę w sprawie polityki polskiej.

Rzeczywiście rzecz ma się tak, że w *kilku* wypadkach sądy brały pod rozwagę, czy paragraf ten może być zastósowany czy nie. W Prusiech, w Poznańskiem i na Śląsku wogóle 7 sądów okręgowych sprawę tę rozważało. W *pięciu* sądach wdrożono dopiero przedwstępne śledztwo — jeden sąd postępowania zaniechał. W *Zabrzu* chodzi o 3 wypadki. W jednym z nich sprawa sama przez się upadła, bo ojciec nakazał dziecku brać udział w niemieckiej nauce religii. W drugim wypadku sąd wydał uchwałę po myśli § 1666 — przeciwko temu wniesiono zażalenie, a zatem sprawa, jest w *zawieszeniu.*

Z powodu tego nie możemy (rząd) dawać tutaj jakiegośkolwiek oświadczenia, albo poczynić kroków, któreby zamierzały mieszać się do niezależnego postępowania sądów. Sędziowie pruscy tak dobrze znają swoją niezależność jak swoje obowiązki. Rząd pruski nie ma zamiaru, uczynić cośkolwiek, coby stało w sprzeczności z prawem Rzeszy.

Na wniosek posła Czarlińskiego otwarto dyskusyę nad interpelacyą.

W imieniu partyi *konserwatywnej* oświadcza poseł **v. Normann**, że ani w sprawie interpelacyi polskiej ani centrowej parlament nie ma prawa za-

bierać głosu — zatem jego partya głosu zabierać nie będzie.

T. zw. „partya Rzeszy“ (Reichspartei) stoi na tem samem stanowisku, i wyraża przez posła v: **Tiedemanna** nadzieję, że w sejmie pruskim będą mieli dość okazyi do omówienia spraw polskich, i że kanclerz Rzeszy polityce kresów wschodnich baczne poświęci oko i przeprowadzać ją będzie konsekwentnie, a niemniej z należytym naciskiem.

Partya narodowych liberałów to samo zajmuje stanowisko, uważa sprawy poruszone przez obie interpelacye jako sprawę wewnętrzną dla Prus, pomimo tego przedstawiciel jej poseł **Büsing** wyraża pochwałę swoją dla celowej polityki polskiej rządu pruskiego, potępia wszelką wrogą niemczyźnie agitacyę, strajk szkolny nazywa *bezwzględną polską agitacyą,* wbrew oczekiwaniu jednak oświadcza, że przymusowego wychowania dzieci *nie uważa za środek odpowiedni* do złamania oporu.

Bebel (socyalista) uważa sprawę, która spowodowała interpelacyę, jako wysoce polityczną i dziwi się, jak można odmawiać parlamentowi prawa zabierania nad nią głosu. Pan Büsing który często w parlamencie poruszał sprawę konstytucyi meklemburskiej, zblamował tylko partyę swoją. Narodowy liberalizm tem się oznacza, że nie uznaje żadnych zasad. Swego czasu domagali się socyaliści, ażeby ze względów politycznych ani religijnych nie można odbierać rodzicom dzieci. Powiedzono nam, że to się samo przez się rozumie. Ale poczekajcie, mości panowie, — jeżeli bankrucka polityka antypolska dalej pójdzie, — a pójdzie ona dalej, będzie trzeba ostatecznych chwytać się środków — to i najwyższe sądy się nie oprą.

Ja na polski strajk szkolny patrzałem wprost z podziwem; jest on wspaniały! Może nareszcie przecież za radą ks. Jaździewskiego oddzielona zostanie szkoła od Kościoła — a wtenczas nastąpi wśród Polaków spokój. Rząd powinienby wreszcie przejrzeć, że swoją *polityką prześladowczą* nic nie osiągnie. Nad kolebką Rzeszy niemieckiej widniało widmo prześladowania: centrum, potem demokracya socyalna — dziś Polacy! — ha! mnożą się jak króliki!... Wszędzie fiasko. Organ niemieckiej szlachty jeszcze parę lat temu uważał naukę religii w języku ojczystym za konieczną — *obcowanie ze Zbawicielem musi być serdeczne, a On z Polakami na pewno mówi po polsku. Cała antypolska polityka należy — na śmiecie!*

Poseł „wolnomyślnej partyi ludowej“, tej, która dopomogła Polakom do wniesienia interpelacyi w parlamencie p. **Traeger** uzasadnia nasamprzód krok ten swej partyi i uważa za słuszne, wzniesienie jej przed forum parlamentu. Nie chodzi tu o pytanie, czy polityka antypolska jest sprawiedliwą, czy jest skuteczną, czy może budzić lub umacniać czyjeśkolwiek *sympatye pruskie* — ale chodzi o sprawę wychowywania dzieci. A to prawo określa prawo Rzeszy, Rzesza ma nie tylko prawo, ale i obowiązek: kontrolowania całego sądownictwa, a mianowicie, czy prawa Rzeszy w pojedyńczych państwach należycie bywają stósowane.

W sprawie § 1666 powiada komentarz prof. Planka wyraźnie, że zachowanie się ojca w sprawach religijnych albo politycznych ani wpływ jego pod tym względem na dzieci nie wchodzi w rachubę przy prawodawstwie wychowania przymusowego. Profesor ten z szczególnym naciskiem twierdzi, że **zasadę tę uznał także parlament.** Gdyby zasada wówczas została wyrażona w prawie, nie mielibyśmy dziś tutaj interpelacyi w tej sprawie. W Prusiech niestety wszystko jest możliwe.

Poseł ks. Jaździewski opowiadał tutaj o sędzim, który dzieciom wyznaczył przymusowe wychowanie za to, że rodzice kazali im na nauce religii tylko po polsku odpowiadać. Sędzia ów widzi w dzieciach tych przyszłych powstańców, wrogów obecnego porządku społecznego i państwowego, widzi ich na czele polskich regimentów. To jest pogwałcenie duszy i kulturalnego rozwoju dziecka. Także i o zdrowie cielesne dziecka władza szkolna nie wiele dba. — Czyż może być większe nieszczęście dla dzieci, jak to, że je się od rodziców odłącza, że rozdziera się święte węzły natury?

Na takie postępowanie są tylko trzy powody. Najprzód § 1666, powtóre jeżeli dziecko popełni czyn karygodny, a z powodu młodości ukarane być nie może — i po trzecie, jeżeli pobyt w domu grozi mu, że i nadal podobnie będzie postępować. Chodzi tu więc o uchronienie dziecka od zupełnego zepsucia. **Czyż którykolwiek ojciec wykroczył przeciwko prawu lub honorowi? Nie! — ze względu na zbawienie duszy dziecka swego** tak postąpił. Dziecko odrywa się od matki, z rodziny. Wszystko, co jest najważniejsze dla wychowania dziecka, dla jego przyszłego życia, niweczy się — i co się dziecku w miejsce tego daje? Ma być oddane innej odpowiedniej rodzinie; musiałaby to być z konieczności rodzina katolicka; nie łatwo jej znaleść. Prawdopodobnie oddanoby dziecko do jakiego zakładu, zimnego trzeźwego zakładu biurokratycznego. Co z niego będzie? Skutki takiego wychowania nie trudne są do przewidzenia. To byłoby **prawdziwem barbarzyństwem.** Takie postępowanie jest fałszywe i potępienia godne. Sędzia, który taki wyrok wydał, zdaje się postąpił sobie wręcz nielegalnie. Wolno przecież przeciwko temu wyrokowi wnieść zażalenie. Zażalenie zawiesza wykonanie wyroku; sędzia atoli tego odmawia. Tego uczynić nie miał żadną miarą prawa, a on nawet powodu nie podał. To też aż nadto było słusznych przyczyn do wniesienia interpelacyi i do wyjaśnienia tej sprawy. *W każdym razie sekretarz stanu oświadczył, że zastósowanie § 1666 jest fałszywe i naganne* — to na razie wystarczy.

Przemawiali jeszcze posłowie *Liebermann v. Sonnenberg* ze „związku rolnego“ — przeciwko Polakom, *Gotheim z „wolnomyślnego związku ludowego“* w ostry sposób gani politykę kłucia i przyznaje — bankructwo polityki antypolskiej i ubolewa nad tem, że walka z pośród dorosłych przeniosła się na dzieci oraz winę tego zwala na rząd.

Poseł ks. Stychel wnosi o dalszy ciąg obrad, popierają go socyaliści — centrum atoli przedkłada nad słuszne żale nasze sprawę dowozu jęczmienia i ugodę w sprawie Marokka. W ten sposób — z winy centrowców sprawa polska zepchnięta została z porządku obrad *zupełnie!*

Nasze wrażenia.

Strajk szkolny — to nie ulega najmniejszej wątpliwości — wstrząsnął duszą społeczeństwa naszego do głębi.

Jest niezaprzeczalny fakt, że przerósł on najśmielsze nadzieje u swoich, a wprost w zdumienie wprawił władze — w podziw nawet wrogów kościoła katolickiego, jakimi są socyaliści. Przywódca ich — Bebel w mowie swojej parlamentarnej dał wyraz tego podziwu.

Ale też cierpienia nie lada spadły na nas w ślad za strajkiem — cierpienia na dzieci strajkujące i na rodziców, nie mówiąc o reszcie społeczeństwa, że tylko wspomnimy prasę naszą.

Z całej dzielnicy naszej i z Prus Zachodnich, ze wszystkich zakątków kraju dochodzą wieści o zniecierpliwieniu nauczycieli i chłostach, o aresztach szkolnych i o godzinach uzupełniających, o procesach za zmudę szkolną i

o **karach pieniężnych**, o **nasyłaniu nauczycieli nadetatowych.**

Wszystko to w duszy całego naszego społeczeństwa tyle nagromadziło żalów, bolu i goryczy, że na wiece setki i tysiące gromadziło się uczestników. Zainteresowanie sprawą szkolną niebywałych dosięgło wyżyn — a tu wiece rozwięzują, na gazety kary się sypią, „środkami legalnemi" usta nam krępują.

Znamy tę legalność!

A tu w społeczeństwie wre, faluje się i kipi — ktokolwiek wpływ ma wśród ludu, rzucą go na szalę i woła: nie róbcie wybryków, drogą prawa walczcie o to, co wam się należy po Bogu i sprawiedliwości!

W takiej chwili otwarto parlament niemiecki. Uwaga całego społeczeństwa skupiła się na posłów naszych, na Koło polskie. Tam przecież wolno mówić, wolno śmiało wyrażać skargi, wolno głośno wołać o — *sprawiedliwość!*

Nadchodzi wieść: *Koło wniosło interpelacyę!*

Nareszcie! — Z uczuciem ulgi spodziewano się, że Koło wiernie opowie to, co społeczeństwo nasze przecierpiało, i co wciąż jeszcze je boli. Spodziewaliśmy się upustu skarg naszych, których w kraju, na wiecach i w pismach głosić nam nie pozwalają.

A tu — nowa wieść: centrum bruździ — druga wieść: N. ks. arcybiskup Stablewski umiera.

To na chwilę myśli społeczeństwa odrywa od parlamentu — ludność spieszy oddać ostatni hołd męczennikowi za wiarę, u ołtarzów katedry poznańskiej wznieść modły do Boga za jego zbawienie i o ulgi dla nas.

Przeminęła i ta chwila. Prace parlamentu z dnia na dzień odkładają interpelacyę naszą — aż nareszcie telegram roznosi po świecie wieść: sprawa polska na porządku dziennym parlamentu niemieckiego w środę dnia 5-go grudnia!

Z zapartym oddechem czekamy wieści. Mówi ks. dr. Jażdżewski. Społeczeństwo ogarnia lęk: czy aby odpowie życzeniom naszym, czy mówić będzie z serc naszych, z duszy naszej?!...

Pod względem układu, osnowy i treści mowie ks. prał. dr. Jażdżewskiego nic zarzucić nie można. Była ona mądra, płynna, jasna — nie była tylko parlamentarna, to znaczy: sucha, oględna. Nie było w niej skargi, nie było oskarżenia czynników, które nas krzywdzą.

Z mowy ks. prał. Jażdżewskiego wyglądał — rozum polityczny, nie było miłości i współczucia dla cierpień naszego narodu.

Czyżby Koło nie wiedziało, że ks. prał. Jażdżewski tak przemawiać będzie? Dla czego Koło jego wysłało na pierwszego mówcę? Czyż niema w Kole innego księdza, który lepiej, serdeczniej czuje dla nas?

My nie dość, że ks. prał. Jażdżewskiego robimy odpowiedzialnym za niedostateczne wyzyskanie chwili, ale robimy odpowiedzialnem za to całe Koło.

Tłómaczenie się, że przecież miała być nad interpelacyą dyskusya, z góry uważamy za niedostateczne. Centrum dało tyle dowodów nieszczerości, że trzeba się było spodziewać, trzeba było przewidywać, że zepchnie ono dyskusyę z porządku dziennego pod jakimbądź pozorem.

Ks. prał. Jażdżewski — a potem całe Koło jest odpowiedzialne za to, że rezultat interpelacyi nie może zadowolnić społeczeństwa. Po kole, które wybrane zostało pod hasłem: ostrzejszego tonu — spodziewaliśmy się więcej. Czyżby pod koniec kadencyi posłowie nasi do innych dochodzili przekonań politycznych?

Społeczeństwo zażąda w stósownem miejscu i w stósownej chwili — rachunku od posłów naszych za tę interpelacyę.

A teraz do centrum. Zachowanie centrum robi wrażenie Pilata, który wydał Zbawiciela naszego na męki — a potem umywał ręce na dowód, że on temu nie winien.

I centrum wydało sprawę strajku szkolnego na łup wrogich nam stronnictw, samo rozbiło jedność w sprawie równie ważnej dla siebie jak i dla nas — a przy przyszłych wyborach w roku 1908 zechce zapewne lud polski łudzić tem, że robiło, co w jego siłach, ale rząd w sprawie polskiej jest głuchy.

Dobrze — ale lud polski odpowie wówczas: wyście nas opuścili, wyście nas zdradzili, my takich przyjaciół nadal nie chcemy. Obronę naszą złożymy w ręce przedstawicieli, którzy z krwi i kości są naszej, z nami czują, po naszemu myślą — a nie umizgają się do nieprzychylnego nam rządu.

Zachowaniem swojem w sprawie interpelacyi polskiej z powodu strajku szkolnego — centrum wykopało sobie grób na G. Śląsku.

Jak osądzić stanowisko rządu?

Oprócz odpowiedzi ministra Studta na znany telegram posłów pp. hr. Mielżyńskiego i Grabskiego, i podobnej odpowiedzi na petycyę kapituł poznańskiej i gnieźnieńskiej — żadnej innej enuncyacyi rządu dotąd nie było.

Odpowiedź więc na interpelacyę polską — wzbudzała ogólne zainteresowanie. Jakie zapowie środki — czy je w ogóle zapowie — jaka będzie z odpowiedzi wynikała opinia sfer rządowych o strajku szkolnym?

Tymczasem na te wszystkie pytania sekretarz stanu p. dr. Nieberding — żadnej nie dał odpowiedzi.

Jak przed, tak więc i po interpelacyi sfery rządowe zapatrywania swoje na strajk szkolny w głębokiej chowają tajemnicy — dziś już nawet przestały straszyć tem, że o przełamanie strajku starać się będą wszelkiemi siłami, choć na legalnej drodze.

Co to znaczy?! — Ta cisza dowodzi, że rząd poza aresztem, poza nasyłaniem nauczycieli, poza groźbą przetrzymywania dzieci w szkole poza rok czternasty — nie zdecydował się jeszcze na żaden krok stanowczy — nie wie jak rozwiązać zagadkę strajku, ażeby na tem nie ucierpiała jego powaga.

Czy jednakże na przedłużaniu cierpień naszych i ogólnego niezadowolenia — powaga rządu zyska cośkolwiek?

A zatem stan rzeczy w społeczeństwie naszem przez interpelacyę nie zmienił się w niczem. Jedno zdaje się uzyskaliśmy, to że sądy z większą sumiennością badać będą zachowanie się dzieci i rodziców, że za opór dzieci przeciwko niemieckiej nauce religii — przymusowem wychowaniem karać nie będą.

Po zatem niezmienne pozostaje nam przeświadczenie, że względem moralnego i religijnego wychowania dzieci spełniamy — tylko nasz święty obowiązek.

Od Redakcyi.

Społeczeństwo nasze przechodzi obecnie ciężką chwilę, brzemienną w przyszłe następstwa i skutki.

Toczy się walka pomiędzy domem polskim — a szkołą pruską, pomiędzy rodziną a nauczycielem, pomiędzy społeczeństwem polskiem — a rządem pruskim.

Chodzi tu o wpływ ojca i matki na dziecko. Szkoła i rząd chcą zadzierżgnąć swe sidła germanizatorskie na dziatwę polską.

Nie — nie tylko *chcą*, ale już dzieci nasze w sidłach tych szamocą się od dwudziestu nieomal lat. Wszak w r. 1887 usunięto język polski ze szkół — wszak jeszcze w roku 1873 wydano rozporządzenie, by szkoła dzieci polskie uczyła religii nawet w języku niemieckim.

I dzieje się to dziś już w setkach szkół naszych — wbrew zasadom kościoła, wbrew woli rodziców.

Walka ta więc nie tylko pomiędzy szkołą i domem — ale pomiędzy rządem i kościołem się toczy. Czyż Polacy, którzy byli przedmurzem chrześcijaństwa, wieki całe boje zażarte toczyli z Turkiem i muzułmaństwem, aż wreszcie pod Wiedniem pogański półksiężyc legł zdeptany i zwyciężony u stóp króla Jana III., czyż my potomkowie bohaterów — kościół opuścimy?.....

Trudna, smutna i ciężka to walka. Ale toż tylko w trudach hartuje się ciało, potężnieje duch, przez trudy i mozoły dochodzi się do palmy zwycięstwa.

Potrzeba nam jednak w tej chwili więcej aniżeli kiedykolwiek jednej cnoty: zgody, zespolenia się wszystkich warstw narodu, jak bracia winniśmy stać ramię przy ramieniu, i w tem zespoleniu śmiało odpierać ataki germanizmu.

W walce tej potrzeba łącznika, zdolnego pogodzić odrębne interesy różnych warstw; tym łącznikiem to: interes, to powodzenie, to szczęście całego społeczeństwa naszego — interes narodowy.

Cóż on takiego oznacza?

Robotnik dla chleba nie pyta się, kim jest ten, kto mu go daje. A małoż to razy w obecnej dobie konieczność zarabiania na chleb ciężką sprawiała walkę z sumieniem? Tam „pan“ — Niemiec żądał, by rodzic dzieciom swoim nakazał religii uczyć się po niemiecku. Sumienie dyktowało mu: każ uczyć po polsku: „Pan“ Niemiec na to: stracisz robotę!

Na pochwałę robotników polskich powiedzieć musimy, że woleli często chleb stracić — ale spełnienia sumiennego obowiązku się nie wyrzekli.

Gospodarze — mało im te wrogie instytucye za ich ziemię ofiarowali grosza? Pokusa straszna. A jednak ogół twardo trzyma się ziemi swej, nie ulega pokusie.

Mieszczanie — nęcą ich sutym zarobkiem, byle tylko zdradzili swe przekonania narodowe. Pójdziesz głosować na Niemca — oddam ci robotę, zarobisz, dobrze zapłacę — ale Polak idzie głosować na Polaka. Złoto duszy jego nie spodli, nie zaprzeda za mamonę czci swojej i honoru narodowego. To jest interes narodu, to jest przenoszenie dobra ogółu — nad własną korzyść.

Trzeba jednak, ażeby społeczeństwo nasze miało dobrego nauczyciela, który mu nieustannie wskazywać będzie: gdzie jest ta granica pomiędzy własnem dobrem — a dobrem ogółu, granica, po za którą zapomnieć należy o sobie — a myśleć o narodzie, o społeczeństwie.

Tym nauczycielem jest prasa. Prasa jest tem sumieniem narodu naszego, które mu powiada, co się godzi, a co się nie godzi. Bez prasy, bez gazet uczciwych, a szczerym owianych duchem narodowym — nie byłby po dziś dzień możliwy rozwój, nie byłoby możliwe naprawienie doli naszego społeczeństwa.

Prasa nasza, gazety nasze niosą pomiędzy naród, do chat biednych i bogatych pałaców oświatę i naukę, wskazują drogi nie tylko obrony — ale i postępu i rozwoju; nie mówią one tylko: broń się, byś ty był Polakiem, ale staraj się, by i dzieci, i dzieci dzieci twoich były Polakami. Gazety wciąż podają sposoby na to, jak to najłatwiej uczynić.

Ale i one same należą do tych środków, przez które miłość do polskości przechodzi z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna, z dziada na wnuka i prawnuka.

To jest ich obowiązek. Spełniają one go wiernie i wytrwale.

Spada też za to i na społeczeństwo obowiązek: *odwzajemnienia* się prasie za tę pracę i za te trudy, które w jego ponosi obronie. Spełnia go też społeczeństwo nasze chętnie, i garnie się licznie pod opiekę, jaką roztaczają nad czytelnikami swemi gazety.

Dziś, kiedy srogie prześladowania najcięższej spadły na gazety polskie, gazety te podwójne prawo zdobyły sobie do tego, ażeby czytelnicy pozostali im wiernymi.

Liczne procesy, kary grożące redaktorom niejednemu pismu zdolne podciąć byt, zdolne pozbawić społeczeństwo przewodnika wśród tych ciężkich burz i nawalnic.

Kto je podtrzyma, kto silnem poprze je ramieniem?

Odwołujemy się dziś w tej ciężkiej chwili do pomocy Czytelników naszych.

I na „Pracę“ spadły gromy w postaci procesów i kar.

Wiecie, Bracia, że jeden z współpracowników naszych jeszcze nie dokończył swej kaźni — drugi zasądzony już dwukrotnie, kilka jeszcze ma procesów, los ten nie minie i trzeciego. W takich warunkach nie dziw, że położenie „Pracy“ stało się trudne, bardzo trudne.

Ciężka to dla nas chwila.

Po długich naradach, po sumiennem zbadaniu położenia naszego doszliśmy do wniosku, że mamy dwie drogi wyjścia z tego położenia: albo *zmniejszyć „Pracę“, albo podwyższyć jej cenę.*

O tem, żebyśmy mieli po dziesięciu latach, po tylu procesach, napłaciwszy tyle kar, po tylu więzieniach za sprawę narodową — pismo nasze *zawieszać*, nie było wolno nam myśleć. Jeśli nikomu nie wolno uchylać się od pełnienia swych narodowych obowiązków, tem mniej wolno to polskim pismom.

Uważaliśmy także za rzecz niemożliwą, zmniejszyć „Pracę“ w chwili, kiedy coraz większą staje się potrzeba oświaty, a z nią i potrzeba i pragnienie gorących słów zachęty do wytrwania na narodowym szańcu.

I nie pozostało nam nic innego, jak chwycić się ostatniego środka, który i nam da możność utrzymania się na szańcu, a tym środkiem, to — *podwyższenie abonamentu.*

Nie czynimy tego jednakże w myśli o zysku — nigdy nam „Praca“ zysku nie przynosiła, i teraz go też przynosić nie będzie, ale czynimy to z konieczności i prostego obowiązku. A za trud i pracę naszą, za oświatę, którą niesiemy w każdy dom, do którego „Praca“ nasza dochodzi, za gorące słowa obrony spraw narodowych, za szerzenie wśród społeczeństwa naszego braterskiej miłości i zgody, za to podnoszenie w górę sztandaru ideałów narodowych — za to wszystko tego jednego spodziewamy się po drużynie Czytelników naszych, że i nadal wiernymi nam pozostaną.

* *
*

„Praca“ jak dotąd i nadal wychodzić będzie — *tygodniowo* i w tej samej objętości, to znaczy zawierać będzie *dwa pełne arkusze treści*: jeden *polityczny* — drugi *illustrowany.* Treść pozostanie *doborową* — przewodnia myśl „Pracy“ będzie: *służba dla sprawy narodowej — i oświata narodowa.* Z tej drogi „Praca“ mimo piętrzących się trudności nie ustąpi ani na krok. Nie przestaniemy się starać o ciągłe ulepszenie „Pracy“, o podawanie jeszcze więcej obrazków z chwili bieżącej, opisów ziem i okolic całej Polski, pamiątek dawnych historycznych i powieści ciekawych.

„Praca“ więc pozostanie wierną dawniejszym i dzisiejszym swym ideałom i prosi Czytelników swoich, aby i oni jej pozostali wiernymi na zawsze.

Przedpłata tylko — czyli abonament wynosić będzie na cały kwartał nie jak dotąd 1 markę i 25 fen.

lecz 1 markę 50 fen.

Redakcya.

Do kształcącej się młodzieży w zaborze pruskim.

Żałuję mocno, że nie znam całego toku dyskusyi o akademickiej młodzieży polskiej w zaborze pruskim, którą zainicyował „Kur. Poznański“ *). Mimo to ze względu na doniosłość sprawy, nawiązując do poprzednich mych uwag o „Czytelni akademickiej“, pozwolę sobie powrócić do tej kwestyi.

Nikt nie zaprzeczy twierdzeniu, że młodzież w zaborze pruskim jest wychowywana w szkole, wrogiej zarówno kulturze naszej, jak i umysłowości. Dusza i umysł młody narażone są na wpływy obce, szkodliwie na nich się odbijające. Niweluje częściowo wpływy postronne dom i rodzina, niweluje duch i nastrój domu, zniwelować atoli w zupełności wpływów obcych nie może i nie zdoła. Przekonywamy się o tem sami, cośmy ze szkół w zaborze austryackim wyszli, jakkolwiek mamy większe swobody, jakkolwiek szkoła podlega galicyjskiej Radzie Szkolnej krajowej; zawsze mimo to wpływ państwa zaborczego jest silny, szkoła narodową być nie może i z niej wynosimy pierwiastki duszy polskiej i polskiemu charakterowi obce. Toż samo możemy powiedzieć o młodzieży zaboru rosyjskiego, na której również — choć ona pochodzi z łona zaboru, mającego tradycye najsilniejsze i najsilniej ogniskującego Polaków — odbija się system szkolny rusyfikacyjny i rosyjska kultura. Fakt ten bynajmniej nie może być uważany za zarzut, jest jeno skutkiem przykrych warunków, w jakich naród polski żyje.

Wracajmy do zaboru pruskiego. Po ukończeniu szkół średnich młodzież idzie na uniwersytety lub politechniki w głównej mierze istniejące w państwie niemieckiem. A tutaj jeszcze silniej narażona jest na wpływ umysłowości, z umysłowością naszą nie mającej zgoła nic wspólnego, tutaj jeszcze silniej ulega kulturze niemieckiej. Rzecz jasna a zrozumiała, ale tem właśnie niebezpieczniejsza. Charakter, usposobienie, kultura, dusza — nasze są wręcz przeciwne germańskim, a przenoszenie pierwiastków obcych u nas jest szkodliwe. Ludzie z wykształceniem wyższem siłą rzeczy, stając się i tworząc inteligencyą, mają w narodzie większe znaczenie i wywierają większy wpływ. Mogą więc wbrew swym najistotniejszym intencyom, wychowani i wyrobieni przez obcych, obce nieść pierwiastki u nas.

* Patrz „Praca“ nr. 40, artykuł: Nasza młodzież akademicka.

Rzadko spotkać takie indywidualności, które zdołają się przemocy duchowej oprzeć. Są takie. Przed kilku dniami miałem sposobność zetknąć się z rodakiem z pod Prusaka, który bynajmniej nie uległ kulturze obcej, ale owszem odstrychnął się od niej wielce, stając się rzecznikiem narodowej naszej kultury i idei polskiej. Pozwalam sobie wyrazić życzenie, by takich organizacyi duchowych było jak najwięcej.

— — — — — — — — —

Aby zniwelować wpływ szkodliwy obcych jest sposób: *przebyć czas pewien na studyach w ogniskach naukowych polskich.* Myślę tu o Galicyi, o Lwowie i Krakowie; w Warszawie bowiem mimo usiłowań nie zdołano spolszczyć uniwersytetu ni politechniki. Zyskałaby na tem pod trzema względami.

Po pierwsze: utrata wiary w kulturę germańską, wpływ kultury i idei polskiej. Poznańskie, wogóle cały zabór pruski, nie stoi pod względem intelektualnym tak wysoko, jak n. p. zabór austryacki lub Królestwo Polskie. Wiemy o tem niestety wszyscy, czujemy to zło aż nadto dosadnio. Wiemy, że stamtąd emigrują ludzie pracujący umysłowo do innych dzielnic Polski, gdzieby wiedza ich i wykształcenie znaleść mogły zbyt. Niema zresztą na miejscu wyższych szkół polskich, niema więc ognisk, któreby rzucały promienie narodowej kultury. Poddając się wpływowi obcej, mimochodem wyradza się w nas przekonanie o wyższości duchowej obcej. Zupełnie wytłomaczalne. Tymczasem uczęszczanie i słuchanie wykładów uczonych naszych daje nam świadomość o naszej potędze kulturalnej, zaznajamia nas z naszym stanem umysłowym, a nadewszystko nauka w naszych ogniskach naukowych nie wypacza charakteru dusz i umysłowości naszej. W zakładach niemieckich choćby wykładano literaturę lub dzieje ojczyste, to ten wykład nie przemówi nigdy tak do duszy słuchacza, jak polskie słowo z polskiej katedry uniwersyteckiej. Poznając nasz dobytek cywilizacyjny, nasze w tym względzie zasługi, znaczenie, zatracamy poczucie niższości duchowej naszej.

Żywy przykład mam na Śląsku Cieszyńskim. Staraniem tamtejszego Tow. Pedagogicznego urządzono latem 1904 i 1905 r. kursa uniwersyteckie dla nauczycieli ludowych. Dla nich, wychowanych przeważnie w szkołach niemieckich, ogromnego znaczenia były wykłady polskie z wszelkich dziedzin nauki, wykłady, w których przesunięto przed oczyma słuchaczy polski dorobek naukowy.

Po wtóre: przygotowanie się do życia obywatelskiego w towarzystwach studenckich. Stowarzyszenia młodzieży w zaborze pruskim są niedozwolone przez władze; tutaj panuje zupełna wolność, więcej swoboda, niezależność prawie bezwzględna. Dają te stowarzyszenia: 1-o poczucie wspólnych, zrzeszonych sił; 2-o przygotowanie do twórczej pracy publicznej. Wyradza się w człowieku poczucie wspólności z ogółem, widzi się, że dzięki zespołowi sił działalność staje się o wiele więcej twórcza, energiczniejsza, owocniejsza, przekonywa się, iż jednostka idąca samopas w życiu, choćby najproduktywniejszem, zdoła uczynić niewiele w porównaniu z działalnością zorganizowaną. Praca sama jednostkę wyrabia: nabiera się hartu, zmysłu orientacyjnego, cywilnej odwagi.

Po trzecie: zatarcie różnic dzielnicowych, wyzbywanie się partykularyzmów, poznanie stosunków. Pomimo bowiem poczucia jedności i łączności narodowej, mimo zabory i kordony, tkwią w nas jeszcze niekiedy dość silnie zakorzenione wady: dzielnicowe partykularyzmy, nieswojskość, gdy się znajdziemy wśród innych warunków, w innym zaborze. A właśnie zapoznanie się ze stosunkami w innej dzielnicy, z ludźmi tam działającymi, w ogniskach, gdzie skupia się — obecnie zwłaszcza — w wielkiej mierze młodzież z Królestwa Polskiego i prowincyi zabranych — da głębokie, niewzruszone przeświadczenie o naszej sile narodowej, o naszem mimo zabory nierozerwalnem istnieniu.

— — — — — — — — —

Wiem, że obecnie poruszona tu sprawa nie da się urzeczywistnić. Studya w zakładach naukowych są już zaczęte, młodzież stanęła do warsztatu pracy umysłowej. Poruszam atoli tę sprawę po to, by myśli o przebyciu jednego lub dwu semestrów na uniwersytetach polskich i to w Galicyi już teraz między młodzieżą zaszczepić. Skoro będzie po temu pora, nie omieszkamy wrócić do poruszonych tu spraw, dając jednocześnie odpowiednie wskazówki i informacye.

H. Wierzba.

Co i jak czytać?

(Książki dla dzieci).

Wśród podarków gwiazdkowych pierwsze miejsce należy się książce.

Książka polska dzieciom naszym zastępuje naukę ojczystego języka i

jedynem jest źródłem wykształcenia narodowego. O tem powinni zawsze pamiętać rodzice i dostarczać dzieciom nieustannie stósownych książek.

Dzieci z małymi wyjątkami chciwie czytają książki stósowne do ich wieku i sposobu myślenia. Czytają szybko, śledząc gorączkowo wątek opowiadania i z zadowoleniem odwracają kartę za kartą, aby tylko doczekać końca.

Pożytek z takiego czytania oczywiście jest bardzo mały. Ważnem jest więc, aby dzieci czytały nie szybko lecz wolno, jaknajwięcej głośno i po trosze.

Czytanie głośne po polsku w warunkach w jakich młodzież się kształci, jest koniecznem i niezbędnem dla poznania języka ojczystego i nabycia biegłości w wysłowieniu ustnem i piśmiennem.

Pragnąc przysłużyć się rodzicom i dzieciom podajemy dziś nazwiska najlepszych autorów i autorek oraz krótką ocenę ich utworów.

Znany zaszczytnie ze swej długoletniej, niezmordowanej pracy na polu piśmiennictwa ludowego *Józef Chociszewski* wydał spis książeczek dla dzieci, przystępnych i prawdziwie pożytecznych. Nazwisko zasłużonego autora dostateczną jest rękojmią wartości tych książek. Do najlepszych zaliczyć można: *Złotą książeczkę* dla dzieci, zawierającą piękne przykłady o czwartem przykazaniu Bożem.

Historya polska i literatura dla łatwego układu i bardzo przystępnego stylu nadają się wybornie do nauki dzieci.

Powieści *kanonika Szmydta* znane nam z dzieciństwa, dziś jeszcze równą się cieszą sympatyą młodych czytelników.

Dziwny urok mają te powiastki; dzieci czytają je raz, drugi i trzeci z równym zachwytem. Za poważny i trochę ciężki styl tych powiastek i długie morały obficie wplatane w toku opowiadania nie nużą ani zniechęcają dzieci — to właśnie najlepszym jest dowodem, że autor umiał trafić we właściwy ton i przemówić zarówno do wyobraźni i do serc dziecięcych.

To samo można powiedzieć o bajkach *Jachowicza,* które dla łatwego układu i prostej, a zawsze szlachetnej formy bardzo dobrze się nadają do nauki młodszych dzieci.

Dobre książeczki dla dzieci niżej lat 10 napisali: Chęciński, Niemojowski, Weryho, Warnkówna i Erzepkowa.

Dla starszych dzieci polecenia godne są powieści: Przyborowskiego, Umińskiego, Zaleskiej, Morawskiej, Pauliny Kraków, Teresy, Jadwigi.

Powieści *Klementyny Hofmanowej,* która pierwsza zaczęła pisać książki prawdziwie dobre dla młodzieży, nie straciły dziś jeszcze na wartości. Trzy pokolenia kobiet czytały książki Hofmanowej — i nasze córki niech jaknajwięcej uczą się z nich miłości rzeczy ojczystych i mądrości życia, którą autorka tak umiejętnie zaszczepiać umie w serca czytelników. Powieści Hofmanowej powinny jaknajwięcej być znane i czytane.

Jeszcze jeden rodzaj książek pragnę polecić młodzieży: oto Żywoty świętych. — Wszystko, co umysły dziecięce poruszyć i zachwycić zdolne, znajduje się w tych opowieściach; cudowne i nadzwyczajne przygody, bohaterstwo i wzruszające przykłady cnoty. A wszystko to nie jest zmyśleniem, lecz rzeczywistą prawdą. Bohaterzy tych opowiadań to ludzkie istoty, nie utwory wybujałej wyobraźni — ale istoty wyższe, świętsze i doskonalsze, które jak kwiaty na bagnie wyrosły wśród zepsucia świata nietknięte i niezarażone światowem zepsuciem.

Książki te zatem etyczną swą wartością przewyższają wszystkie inne, a ten wzgląd jest najważniejszym w wyborze książki.

Potrzeba koniecznie kierować umysły młodzieży ku wyższym zadaniom — w naszych czasach, gdy coraz więcej zanika poszanowanie cnoty i cześć dla ideału.

G.

Solidarność Polaków.

(Własna korespondencya „Pracy.")

Lwów, 10-go grudnia.

Rok minął od chwili, w której na wyraźną wolę cesarza austryackiego wniósł do parlamentu austryackiego minister *Gautsch* projekt nowego prawa wyborczego. Był to rok walk namiętnych między posłami różnych narodów ,tworzących państwo austryackie. Przekonały one chyba dostatecznie wszystkich, że tym sposobem nie usunie się zapory, która nie pozwala państwu austryackiemu wejść na drogę koniecznych reform społecznych mogących jedynie przynieść korzyści milionowym masom traktowanym dotąd po macoszemu. Okres ten przekonał wszystkich również i o tem, że główny cel wniesienia reformy wyborczej, chociaż starannie ukrywany, t. j. zapewnienie dziedzictwa dynastyi Habsburgów nie został w takiej mierze osiągnięty jak się tego spodziewano. Austrya bowiem nie uniknęła jeszcze zupełnie grożącego jej niebezpieczeństwa: *wewnętrznego rozbicia.*

Natomiast jest już prawie pewność, że reforma przejdzie.

Niemcy austryaccy już ogłosili, że pragną utworzyć wielkie stronnictwo związane solidarnością narodową, któreby miała obowięzywać nietylko na czas wyborów, ale i w przyszłej izbie poselskiej. Czy ta solidarność dojdzie do skutku, przyszłość pokaże; pokaże ona także czy Niemcy podziwiający solidarność Koła polskiego i jego siłę, potrafią zapanować nad tyloletniemi sporami wzajemnemi.

Czesi nie zdradzają jeszcze swoich zamiarów, bo są w obawie, czy rządzące dotychczas stronnictwo *młodoczeskie* przyjdzie wogóle do głosu. Niedawne wybory do sejmu w Morawie przekonały wodzów młodoczeskich, że na wsi stracili zupełnie grunt pod nogami. Będą się też, zdaje się, musieli pożegnać z myślą o przodownictwie wszystkim klubom słowiańskim w wiedeńskim parlamencie,

Dla przyszłego Koła polskiego otwiera się piękna przyszłość. W wielkiej kampanii parlamentarnej o reformę wyborczą zdobyło sobie Koło polskie znowu decydujące niemal stanowisko. Istotnie bowiem Koło polskie. aczkolwiek w szerokich masach ludowych przedstawiane jako wróg reformy wyborczej, poniewierane w pismach i na wiecach, wyzywane najordynarniejszemi słowami, najwierniej dotrwało swym zobowiązaniom przyjętym do przeprowadzenia tego wielkiego dzieła, o którem niewiedzieć, czy przyniesie ludowi rojo e korzyści.

Faktem również niezaprzeczalnym jest to, że możliwe korzyści *narodowe,* jakie przy tej sposobności dla Polaków w Galicyi osiągnięto, uzyskać się dały jedynie niezłomnem a solidarnem stanowiskiem Koła w całej tej sprawie.

A solidarność ta jest nam teraz tem bardziej potrzebna, ponieważ ustawa wyborcza w ostatecznej redakcyi przyznaje nam w okręgach wyborczych *mieszanych polsko-ruskich,* tam, gdzie Rusini są w większości, mandat poselski tylko wtedy, gdy odrazu w pierwszem głosowaniu otrzymamy odpowiednią ilość głosów tj. nad 25 procent głosujących. Czy i w społeczeństwie naszem okażemy tyle solidarności ile okazaliśmy jej we Wiedniu przez nasze Koło? *Bes.*

Germanizacya Polaków przez Kościół katolicki w Rosyi.

Zapewne mało komu wiadomo o germanizacyi w rodzaju powyższym. A jednak ona istnieje i to w rozmiarach wcale poważnych w całej południowo-wschodniej połowie Rosyi europejskiej. Świeżo wydane rozporządzenie rządowe o spolszczeniu duchowieństwa w dyecezyi tyraspolskiej zwróciło dopiero uwagę szerszych warstw społeczeństwa na krzywdę, jaka po dziś dzień się dzieje we wschodniej Rosyi Polakom ze strony niemieckiego kleru katolickiego.

Jest rzeczą znaną, że we wszystkich znaczniejszych miastach Rosyi istnieją kolonie polskie, składające się z kilku, kilkunastu, a nawet, jak w stolicach oraz Odessie i — Kijowie — kilkudziesięciu tysięcy członków. Pod względem religijnym rodacy nasi podlegają dwom dyecezyom — mohylewskiej z siedzibą arcybiskupią w Petersburgu, oraz tyraspolskiej ze stolicą biskupią w Saratowie. Ostatnia ta dyecezya obejmuje olbrzymią przestrzeń Rosyi wschodniej wraz z Kaukazem i prócz katolików-Polaków, posiada poważną ilość wiernych innych narodowości, a więc Gruzinów, Ormian, nieco Francuzów oraz kilkadziesiąt tysięcy Niemców. Pomimo, że w stosunku do Polaków, Niemcy pozostają w znacznej mniejszości, rządzą oni dyecezyą wyłącznie i niepodzielnie, a z wpływów swoich korzystają z wyraźną krzywdą i upośledzeniem naszem. Pod tym względem panują tu najzupełniej stosunki dyecezyi wrocławskiej. Seminaryum duchowne i kapituła w Saratowie stanowią ogniska ducha niemieckiego na wschodzie Rosyi europejskiej. Stolicę biskupią od lat szeregu zajmują Niemcy, niechętnie usposobieni dla naszych dążności narodowych, obecnie biskupem jest ks. Kessler. Kanonikami są Niemcy, profesorami seminaryum oni również, w katedralnym kościele saratowskim nabożeństwa się odbywają w języku niemieckim, pomimo znacznej liczby polskich parafian. Alumnami seminaryum saratowskiego są w przeważnej ilości synowie kolonistów neimieckich z nad Wołgi. (Kolonie Niemców, składające się z kwitnących gospodarstw i fabryk, datują się nad Wołgą od wieku 17-go i po dziś dzień zachowały swą odrębność narodową i kulturalną. Niemieckie osady w Rosyi wyglądają jak kwitnące oazy wśród nędznych wiosek chłopów rosyjskich, a urządzenia gospodarcze odbijają korzystnie od pierwotnych rosyjskich).

Pomimo liczebnej przewagi nad Niemcami w dyecezyi, Polacy posiadają tam zaledwie 10 procent kapłanów z ogólnej ich liczby; tyleż wynosi procent Polaków w seminaryum saratowskiem.

Czemu się tak dzieje?

Przyczyną tego niepomyślnego dla nas stanu rzeczy, był obowiązujący dotąd zakaz przenoszenia do dyecezyi tyraspolskiej księży z innych katolickich dyecezyi państwa rosyjskiego, czyli polskich i litewsko-ruskich, oraz zakaz przyjmowania do seminaryum alumnow z Królestwa Polskiego. Zarówno więc alumnowie, jak i księża Polacy dyecezyi tyraspolskiej pochodzą wyłącznie z rodzin, zamieszkałych w cesarstwie. Polska zaś ludność, rozsiana po miastach Rosyi, a składająca się głównie z rodzin urzędniczych, mało dostarcza kandydatów do stanu duchownego.

Jeden z dzienników warszawskich przytacza szereg faktów, świadczących o tem, jak dalece opanowanie przez Niemców dyecezyi tyraspolskiej jest połączone ze szkodą dla żywiołu polskiego. Najwięcej ją odczuwają rodacy nasi, nie widząc w swych pasterzach żadnego poparcia w najważniejszych sprawach życia narodowego, a raczej napotykając na mniej lub więcej jawną niechęć dla nich.

Znane są takie fakty, niestety, bardzo liczne, że proboszcz-Niemiec umyślnie wyjechał na kilka dni z miasta, aby nie być zmuszonym do odprawienia nabożeństwa żałobnego w 50-letnią rocznicę śmierci Mickiewicza, za co zwymyślanym został nawet przez pisma rosyjskie. W innem miejscu proboszcz-Niemiec zadenuncyował przed gubernatorem Polaków, mieszkańców poblizkiego miasta, należącego do tejże parafii, o to, że zbierają u siebie składki na wybudowanie kaplicy, nie posiadając na to pozwolenia władzy.

Wkrótce stosunki powyższe należeć będą już do przeszłości. Zarówno zakaz przyjmowania do dyecezyi tyraspolskiej księży z innych dyecezyi, jak i zakaz uzupełnienia liczby wychowańców seminaryum saratowskiego przez alumnów z Królestwa — zostały obecnie *zniesione*. Na straży kościołów katolickich, które w koloniach naszych powinny być najpierwszą placówką narodową, staną duszpasterze, umiejący odczuć i zrozumieć dążenia swoich parafian. Teraz przynajmniej liczne prośby, zewsząd nadsyłane do biskupa w Saratowie o obsadzenie parafii księdzem-Polakiem, nie będą wracały ze zwykłą dotąd odpowiedzią: „Księży-Polaków w dyecezyi swej niemam, z innych zaś dyecezyi przyjmować nie wolno.“

Zebrania i wiece.

Ostrzeszów.

Walne Zebranie Towarzystwa Naukowej Pomocy I. K. M. na powiat Ostrzeszowski odbędzie się w Ostrzeszowie w lokalu p. Stefana Marwega w środę dnia 19-go grudnia b. r. o godzinie pół do 5-tej po południu.

Komitet.

Żnin.

W czwartek dnia 20-go b. m. po południu o godzinie 3-ciej odbędzie się w hotelu p. Stuchlińskiej walne zebranie Towarzystwa Pomocy Naukowej na powiat Żniński. Na porządku dziennym pomiędzy innemi wybór nowego prezesa na powiat Żniński. O liczny udział uprasza

Komitet powiatowy.

Wiec „Straży“

na miasto

Gdańsk

i powiaty gdańskie odbędzie się w niedzielę dnia 23 grudnia b. r. o godzinie 1-szej w południe w lokalu p. Steppuhna w Szydlicach pod Gdańskiem. O liczny udział rodaków z Gdańska jakoteż z powiatów gdańskich uprasza

Czyżewski, starosta Straży.

Krwawa strata.

Siałem ziarno na swej roli,
Nie chciało mi wschodzić,
Złorzeczyłem za to ziemi,
Że nie chciała rodzić.

Złorzeczyłem — porzuciłem
Alem stracił na tem —
Choć mi zeszło, co posiałem
Za ojczystym światem.

Bo tam za to na tej ziemi
Com ją był porzucił,
Pochowali dużo trupa
Zanimem powrócił...

Krwawą stratą nauczony
Uczę dziś swe dzieci,
Niechaj nikt po lepsze plony
W obcy świat nie leci.

Lepiej życie swym poświęcić
Niż mieć plon w obczyźnie —
Plon zmarnieje, gdy go splami
Niewdzięczność Ojczyźnie.

J. K. Turski.

ODEZWA.

Zebrani na dniu dzisiejszym obywatele miasta Poznania uchwalili dla uczczenia pamięci naszego nieodżałowanego, w Bogu spoczywającego śp. ks. Arcypasterza *Dr. Florjana Stablewskiego* zbierać fundusz: *Na stałe popieranie nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej.*

Wybrany w tym celu niżej podpisany komitet odzywa się niniejszem do całego społeczeństwa polskiego z gorącą prośbą o składanie dobrowolnych ofiar na wzniosły ten cel, albo do rąk skarbnika komitetu ks. prob. Kościelskiego (Poznań św. Wojciech 13) albo do redakcyi pism polskich, które składki te łaskawie przyjmować zechcą.

Poznań, dnia 26. listopada 1906.

Adam Woliński przewodniczący, *Dr. Fel. Niegolewski* sekretarz,
ks. Bolesław Kościelski, skarbnik,

Stefan Cegielski, Stefan Chociszewski, prof. dr. Antoni Drygas, dr. Zygmunt Dziembowski, Zygmunt Marweg, Jan Paczkowski, dr. Józef Pomorski, Celestyn Rydlewski, dr. Maryan Seyda.

Do komitetu przystąpili:

Ks. Kanonik St. Adamski, W. Adamski, Anioła z Palędzia, W. Bardarz z Czeszewa, A. Bartosz z W. Topoli, Będlewicz z Pleszewa, I. Bieliński z Pelplina, ks. prob. Bogdański z Miłosławia, Boguliński ze Środy, J. Brejski z Torunia, Dr. Brodnicki z W. Kołudy, K. Brownsford, J. Brzeski z Krotoszyna, W. Chełmicki z Zakrzewa, poseł Dr. Alfred Chłapowski, poseł Dr. Antoni Chłapowski, Dr. F. Chłapowski, J Chłapowski z Rzegocina, K Chłapowski z Kopaszewa, poseł B. Chrzanowski, ks. prob. Cyra z Drzycimia. W. Czaja z Skalmierzyc, E. Czarliński z Brąchnówka, poseł L. Czarliński, hr. St. Czarnecki z Dobrzycy, książę Zdzisław Czartoryski, St. Dobrowolski, Dombek z Bytomia, E. Donimirski z Łysomic, J. Eichstaedt, Hr. Engeström, ks. dziekan Gajowiecki z Chodzieża, W. Glabisz z Konarzewa, ks. prob. Gładysz z Komornik, poseł L. Grabski, W. Grabski z Kurcewa, ks. dziekan Grośty z Odolanowa, A. Grzesiński z Wławia, Dr. Hanke z Bytomia, L. Hulewicz z Mielęcina, Dr. T. Jackowski, B. Jagielski, Jankowski z Inowrocławia, ks. poseł i prałat Dr. Jażdżewski, W. Jerzykiewicz, St. Kaniewski, M. Kaniasty, Dr. Kapuściński, Dr. Karasiewicz z Tucholi, J. Kasperski z Starkowa, ks. prob. Kittel z Stodół, ks. prałat Kłos, ks. prob. Kłos, poseł W. Korfanty, A Kościelski z Sepna, J. Kościelski z Miłosławia, ks. prob. Kostencki, ksiądz radca Kotecki, T. Kozłowski z Pławinka, Dr. Kożuszkiewicz, T. Krause, Dr. B. Krysiewicz, Franciszek Krysiak z Berlina, poseł W. Kulerski, Józef Kużaj, Hrabia M. Kwilecki z Oporowa, ks. proboszcz Lange z Doruchowa, ks. prałat Laubitz z Inowrocławia, Dr. Laurentowski z Kościana, I. Leitgeber, ks. prob. Łabędzki z Wrześni, Walery Łebiński, Dr. W. Łebiński, Dr. Majkowski z Kościerzyny. ks. prob. Mayer, ks. radca Michalski, P. Mielęcki z Pęckowa, poseł Hr. M. Mielżyński B. Milski, poseł Dr. Mizerski, ks. radca Mojżykiewicz z Przemętu, Dr. L. Mycielski z Gałowa, poseł A Napieralski, St Niegolewski z Niegolewa, W. Niemojowski ze Śliwnik, ks. prob. Odrowski z Torunia, ks. prob. Piotrowicz z Gniezna, poseł Janta-Półczyński, ks. prałat Poniński z Kościelca. I. Posadzy z Szymborza, mecenas Radziszewski z Ostrzeszowa, poseł książe Radziwiłł, ks. prob. Rochalski z Mącznik, K. Rose z Berlina, Rowiński z Ostrowa, Schneider z Rataj, St. Sczaniecki z Gniezna. Dr. Z. Seyda z Katowic, I. Siemianowski z Gliwic, ks prob. Skowroński z Ligoty, ks. prob. Skrzydlewski z Ponieca, ks. prob. Sołtysiński z Szubina, K. Stablewski z Antonina, St. Stolpe, ks. prałat Stryjakowski z Łabiszyna, ks. prałat i poseł Stychel, ks. proboszcz Dr. Surzyński z Kościana, I Świtała, Dr. Szostakowski z Ostrowa, Dr. R. Szymański, I. Teska z Gniezna, I. Tetzlaw z Mieczkowa, Thomas z Żabikowa, Dr. T. Trzciński z Popowa, W. Tomaszewski, St. Twardowski, ks. prałat Woliński ze Strzelna, ks. prob. Zakrzewski z Golejewka, ks. prob. Zborowski z Ostrowa, St. Ziołecki z Wrześni, Hr. T. Żółtowski z Nekli

---

Śmierć nieodżałowanej pamięci śp. ks. Arcybiskupa Stablewskiego sprawiła społeczeństwu naszemu niepowetowaną stratę, budząc we wszystkich warstwach i wszystkich stanach serdeczny żal i głęboką boleść.

W takiej chwili jaskrawo uwydatnił się nam obraz smutnej doli naszej. — Za cóż bo walczył śp. Najprzew. ks. Arcypasterz? Jako nauczyciel religii w Śremie bronił wykładu języka polskiego, jako poseł był jednym z najżarliwszych szermierzy za naszą sprawę narodową i język polski, jako Arcybiskup bolał i cierpiał, że bolów naszych z powodu rugowania coraz dalszego języka polskiego uśmierzyć nie miał mocy.

Językowi naszemu, wypartemu z urzędów, sądów i szkół — obroną i ostoją stała się rodzina i dom polski. Każdy z was niechaj będzie stróżem i obrońcą jego!

Lecz brak środków do obrony. Obok gazety potrzeba książki, obrazka polskiego, polskiego elementarza, polskiego katechizmu. W każdym domu powinny się one znajdować — a czy są? Jeżeli ich brak — czas aby brak ten zapełnić!

Ku temu celowi zmierza komitet, zamieszczający powyższą odezwę do zbierania składek **„Na stałe popieranie nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej“.**

Rodacy! któżby szczędził grosza dla kształcenia dziatwy naszej!

Jako wieniec na trumnę ś. p. ks. Arcybiskupa biedny czy bogaty — niech każdy, w którym szczere bije serce polskie, rzuci grosz swój ofiarny na fundusz ten

„Stałego popierania nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej.“

Wiadomości.

* **W sprawie Banku Związku Spółek Zarobkowych** odbieramy następujące pismo:

Rada nadzorcza *Banku Związku Spółek zarobkowych* zajmowała się na ostatniem swojem posiedzeniu sprawą, co uczynić wypada ze względu na długotrwałą chorobę dyrektora dr. Kusztelana.

Z prawdziwem współczuciem dowiadywaliśmy się o przebiegu choroby wielce zasłużonego około rozwoju Banku Związku Spółek dyrektora dr. Kusztelana, pocieszając się, że wnet odzyska zdrowie i obejmie znów swoje stanowisko, na którem ze znanym pożytkiem przez długi szereg lat pracował.

Gdy jednakże niestety choroba się przewlekała, rada nadzorcza uważała za potrzebne ustanowić w myśl § 225a prawa akcyjnego z łona swego na przeciąg pewnego czasu zastępstwo i wybór padł jednogłośnie bez wszelkiej agitacyi na wicepatrona dr. Rzepnikowskiego.

Kto zna działalność dr. Rzepnikowskiego na polu spółkowem i bankowem, kto zna jego zasługi przy reformach książkowych, które w znacznej mierze przyczyniły się do tego ładu i porządku w naszych Spółkach, który nawet na ławach ministeryalnych doznał uznania, — ten przyzna, że rada nadzorcza zrobiła ze wszech miar dobry wybór.

Niżej podpisany jako kurator nie brał w wyborze udziału, lecz może oświadczyć, że wszystkie Spółki przyjęły wybór z wielkiem zadowoleniem.

Spółki są podstawą Banku Związku i z ufnością przyjęły wiadomość o zastępstwie dr. Rzepnikowskiego, bo wiedzą, że on powierzonej mu instytucyi nie poprowadzi na fałszywe tory, a że dał się poznać zaszczytnie po owocach swej pracy bankowej, mamy przekonanie, iż praca jego będzie dodatnia i w Banku Związku.

Zarzut czyniony przez nieżyczliwych, że wicepatron nie miał sposobności poznania operacyi giełdowych, stanowi raczej jego zaletę, bo biada Bankowi i biada Spółkom, gdyby dyrektor chciał interesa Banku Związku Spółek poprowadzić na zgubne tory spekulacyi giełdowych! Dla tego i Spółki i Patron zawsze oponować będą przeciwko wyborowi giełdowicza, a zdanie to niewątpliwie i nadal podzielać będzie rada nadzorcza, w której przewagę mają Spółki.

Ks. Wawrzyniak, Patron,
jako kurator Banku Związku Spółek.

* **Procesy prasowe**: Na 100 mk. kary skazała izba karna gdańska redaktora „Gazety Gdańskiej" p. Stan. Wentowskiego za obrazę landrata, któremu zarzuciła, że robi trudności w potwierdzaniu Polaków na sołtysów.

* **Sprawy archidyecezyi**: Z kół katolickich niemieckich otrzymał „Berl. Tagebl." korespondencyę, która zwraca uwagę, że pośpiech, z jakim ks. kard. Kopp wracał ze Rzymu zle tamże zrobił wrażenie. Fakt, że ks. kard. Kopp nie odczekał zebrania konsystorza, zrobił wrażenie, że rządowi pruskiemu chodzi — o strajk szkolny i o informacye o usposobieniu w kołach watykańskich. Katolik z „Berl. Tagebl." jest zdania, że sprawa ta więcej Prusom zaszkodziła, aniżeli pomogła, i domaga się, żeby do informacyi o usposobieniu Rzymu użyto któregoś z księży Niemców przebywających stale w Rzymie. — Dobry to snać — katolik!!

* **Księża przed sądem**: Za znaną deklaracyę stawali w piątek dnia 7-go b. m. przed sędzią śledczym w Lubawie księża dekanatu lubawskiego. Prokurator chce im wytoczyć proces na zasadzie § 130 a kodeksu karnego, który opiewa:

§ 130 a „Duchowny, albo inny sługa religii, który przy wykonywaniu albo z powodu wykonania swego powołania publicznie przed zgromadzonym ludem, albo który w kościele, lub na innem do religijnych zgromadzeń przeznaczonem miejscu przed kilkoma *sprawy państwa w sposób zakłócający publiczny spokój bierze jako przedmiot do ogłoszeń, lub obajśnień*, będzie więzieniem lub fortecą aż do dwóch lat ukarany".

W odezwie księży lubawskich nie było nic takiego, coby temu paragrafowi się sprzeciwiało. Wątpimy przeto, ażeby sąd mógł wytoczyć skargę, do której od śledztwa jeszcze daleko.

* **Na cele oświaty** przysłali: Wna B. Białkowska z Łabiszyna i Wny ks. proboszcz Kaniecki z Nowegomiasta w Prusach Zachodnich znaczną ilość tygodników, broszur i książek, za co Towarzystwo Czytelni Ludowych składa niniejszem uprzejme i serdeczne podziękowanie.

Z nastaniem długich zimowych wieczorów budzi się znacznie potrzeba czytania, czego dowodzi dziennik biurowy towarzystwa. W listopadzie załatwiono bowiem 154 bieżących korespondencyi, założono nowych 10, zasilono już istniejących 49 czytelni, a wysłano wogóle 1516 tomów.

Liczba zgłaszających się o zakładanie nowych bibliotek i o świeże książki zwiększa się bezustannie tak, że pomimo najlepszych chęci trudno jest zadowolnić wszystkie życzenia, jakby tego wymagały rzeczywiste potrzeby i okoliczności.

Prosimy zatem bardzo usilnie o gorliwe popieranie celów

Tow. Czytelni Ludowych w Poznaniu.

* **N. ks .biskup Dr. Likowski**, jako tymczasowy zarządca dyecezyi poznańskiej, wydał do duchowieństwa *list pasterski*, w którym zaleca modły za duszę ś. p. ks. arcybiskupa Stablewskiego i odprawianie litanii do Najśw. Serca Jezusowego na intencyę wyboru nowego arcypasterza „pełnego żarliwości apostolskiej i rozumiejącego ducha i właściwości owieczek swoich". W końcu listu tego przypomina N. ks. Biskup list arcypasterski z dn. 5 listopada b. r., w którym ś .p. Arcybiskup nawołuje księży, aby „wobec naprężenia zmysłów zachowali spokój i roztropność", i aby „owieczki swoje przestrzegali, by się nie dały popchnąć do jakichkolwiek kroków nielegalnych."

* **Składanie z urzędów:** Ze wszystkich stron Księstwa nadchodzą wieści o *masowem* składaniu z urzędów sołtysów, ławników i członków dozoru szkolnego. Ma to być kara za to, że przedstawiciele tych urzędów (a urzędy to *pruskie!*) nie wahali się dzieciom swoim zakazać uczyć się religii po polsku. Często, gdy władze grożą tą karą, odnośni urzędnicy dobrowolnie urzęda swe składają, dowodząc tem samem, że milsza im nauka religii w języku polskim, aniżeli zaszczyt piastowania tego lub owego urzędu.

* **Wszechniemcy — o strajku szkolnym!** Pisma niemieckie podają następującą uchwałę „wszechniemieckiego związku:" Doświadczenie uczy, że t. zw. „polityka kulturna" na pruskim wschodzie li tylko wrogom narodowości naszej (niemieckiej) dała broń w rękę do zwalczania nas (Niemców). Z punktu widzenia narodowego my (Niemcy) nie mamy wcale interesu w tem, ażeby Polacy otrzymywali lepsze wykształcenie, ponieważ ono prawie bez wyjątku pobudza ich świadomość narodową, a w walce konkurencyjnej o chleb stawia ich wyżej. Chwila obecna, w której przez strajk szkolny stało się jasnem, że podburzeni przez księży (?) Polacy odrzucają dobrodziejstwo wyświadczane im wbrew interesom niemieckim przez rząd pruski, zdaje się dogodną, ażeby z dotychczasowem w tej mierze postępowaniem zerwano.

„Wszechniemiecki związek prosi przeto rząd pruski, ażeby dzieci szkolne, nieposłuszne dyscyplinie szkolnej, natychmiast i na zawsze wykluczył ze szkoły; i ażeby w sejmie pruskim przedłożył ustawę, która rządowi pruskiemu da władzę — znosić według potrzeby w dzielnicach zamieszkałych przez Polaków naukę szkolną przepisaną dla wszystkich przez konstytucyą."

Mamy nadzieję, że rząd tego głosu posłucha, ale zarazem udzieli nam prawa — *prywatnego* nauczania. Byłoby to dla nas wielkiem błogosławieństwem.

* **Na grób ks. Arcybiskupa Stablewskiego.** Pisma warszawskie donoszą, że w Warszawie grono młodzieży szkólnej nabyło olbrzymi wieniec metalowy, celem złożenia go na grobie śp. Arcybiskupa Stablewskiego. Na wstęgach widnieje napis: *„Niestrudzonemu obrońcy praw ojczystych. — Dzieci szkół Królestwa Polskiego."*

* **Przysięga XX. Administratorów.** Pisma berlińskie donoszą, że ks. biskup dr. Likowski i ks. kanonik Dorszewski zostali przez króla zwolnieni z przysięgi, przepisanej dla administratorów dyecezyi ustawą z r. 1874.

* **Echa Kurzejgóry**: Sokoli z Leszna odebrali mandaty karne na 6 marek za udział w rzekomym „zlocie" na Kurzejgórze pod Kościanem. Prezes leszczyńskiego Sokoła d. Bobowski otrzymał „nad-datek" 30 mk. za to, że na „zlot" ów zapraszał. Termin odbędzie się dnia 18-go b. m.

* **Żelazny wieniec** postanowiły złożyć matki-Polki z G. Śląska na grobie ś. p. ks. Arcybiskupa Stablewskiego. Na wieńcu ma się znajdować napis: „Obrońcy polskiego pacierza, polskiego Śląska i polskich dzieci". Deputacya, złożona z polskich matek, żon robotników, ma się udać z tym wieńcem do Poznania. — Donosi o tem „Oberschlesische Gr. Ztg.". — My byśmy zamiar taki szczerze pochwalali.

* **Dla naszej dziatwy**: Ze Stanisławowa z Galicyi nadesłały polskie dzieci galicyjskie następujący telegram:

„Osieroconej zgonem N. Arcypasterza ś .p. ks. Stablewskiego dziatwie polskiej w W. Księtwie Poznańskiem przesyła wyrazy szczerego współczucia — dziatwa polska z Stanisławowa w Galicyi".

Tymi wyrazami szczerego współczucia zapewne dziatki nasze serdecznie się ucieszą.

* **Polski fanatyzm!** — Tak nazywa berlińskie pismo niemieckie „B. Z. am Mittag" to, że w *Czempiniu* ktoś zniszczył urządzenie w strzelnicy. — Pisma polskie o wypadku takim nic nie wiedzą. Widocznie ktoś tu spłatał figla. A może w ten sposób „robi" się zaburzenia na „kresach wschodnich", ażeby obwołać nad nimi stan oblężenia. No — no!

* **W polskie ręce.** Śliczny majątek dostał się znowu w polskie ręce, jak donosi „Dz. Kuj." Pan *Jan Kaszuba* z Niemieckiego Kruszyna pod Rynarzewem, kupił w Wunschheim (?) pod Naklem 150 mórg dobrej ziemi za 42 tys. marek od Niemca p. Kutznera.

* **50 procesów** o zmudę szkolną toczyło się ub. tygodnia w *Inowrocławiu.* Sąd ławniczy tylko w kilku przypadkach oskarżonych uwolnił — zatwierdzając większą ilość kar pomimo obrony p. mec. dr. Swinarskiego.

* **18 zapozwów sądowych** wręczono jednego dnia redaktorom „Gazety Grudziądzkiej". Chodzi oczywiście o § 110 i o strajk szkolny.

* **Wielkie śledztwa.** Do *Gorzykowa* pod Witkowem — pisze „Lech" zjechał sąd witkowski, by badać dzieci, kto je do strajku namówił — a mianowicie co księża mówili. Rezultat śledztwa jest nieznany.

* **Wiece** odbyły się podczas ostatnich dwóch świąt: w Rogoźnie, Zaniemyślu, w Środzie, Jarocinie, Ostrzeszowie i na Wildzie pod Poznaniem. Wiece w Zaniemyślu, Środzie i Ostrzeszowie zostały rozwiązane podczas przemówień na temat — wychowania w szkole. — W Rogoźnie przemawiał poseł hr. Mielżyński, ks. Gapczyński i hotelista Krupski — w Zaniemyślu posłowie Korfanty i Dr. Alfr. Chłapowski. Wiec rozwiązano, gdy poseł Korfanty począł tłomaczyć zasadę — soboru trydenckiego, że religii uczyć należy w języku ojczystym. Ten sam los

spotkał wiec w Środzie podczas przemówienia posła Korfantego, tak że poseł Alfr. Chłapowski wcale nie przyszedł do głosu. W Jarocinie przemawiali posłowie Dr. Antoni Chłapowski i ks. prał. Jażdżewski, w Ostrzeszowie poseł radca Dr. Mizerski, Dr. Życki z Ostrzeszowa i redaktor Idzi Świtała z Poznania. W chwili, gdy tenże zaczął tłomaczyć, w jaki sposób sądy uzasadniają swoje wyroki w sprawie strajku szkolnego — wiec rozwiązano. Na wiecu „Straży" na Wildzie przemawiali pp. starosta Dobrowolski, mec. Dr. W. Mieczkowski i Karol Rzepecki, Nowicki i inni. Wiece były wszędzie bardzo ożywione i udział wiecowników bardzo liczny.

* **Z teatru.** W sobotę, dnia 15 b. m. ujrzymy na naszej scenie niezwykłą nowość: komedyę w 3 aktach p. t. *„Bielmo"* oryginalnie napisaną przez panią *Maryę Kościelską.* Autorka znana przedtem w naszem piśmiennictwie z prac nowelistycznych i studyów literacko estetycznych, posiada w tece swojej kilka utworów teatralnych, z których jeden był już grany w teatrze krakowskim w bieżącym roku na wiosnę p. t. *„Miłosierdzie milczenia"*. Druga praca sceniczna nieznanej jeszcze u nas autorki przedstawioną będzie w krótkim czasie w Warszawie, o czem już pisma warszawskie donoszą. Dyrekcya naszej sceny uprosiła panią M. Kościelską o pozwolenie wystawienia w Poznaniu wyżej wymienionej komedyi, która posiada wiele zalet literackich. W niedzielę po południu o 3 godzinie: *„Górą Radziwiłł"*, widowisko sceniczne w 6 obrazach ze śpiewami i tańcami. W niedzielę wieczorem: *„Bielmo"*, komedya w 3 aktach. W poniedziałek: *„Ogniem i mieczem"*. Wtorek: *„Uczta Herodyady"*. Środa: *„Bielmo"*.

* **Bagno kolonizatorskie:** Krótką, ale znamienną w „Dzienniku Poznańskim" znajdujemy notatkę: p. X. z pod *Wrześni* sprzedaje *500* mórg ślicznej ziemi stolarzowi z Poznania niejakiemuś *Radowiczowi,* z ul. Posadowskiego Nr. 16, Radowicz na zaklęcia sprzedającego — święcie zaręcza, że majątek kupuje *dla siebie,* że nie sprzeda go kolonizacyi. — Tymczasem według informacyi „Dziennika" otrzymał 10,000 mrk. na wpłatę dla p. X. od p. *Kronheima* z Bydgoszczy, lecz nie bezpośrednio, raczej przez trzecią rękę. Pan Kronheim ma w Poznaniu swojego agenta p. *Powitzera,* a p. Powitzer wyszukał sobie niejakiegoś *Zygmunta Rakowskiego,* a temu udało się zarzucić wędkę na p. Radowicza.

Tak się pracuje dla kolonizacyi. Ładna trójca: Kronheim — Powitzer — i Zygmunt Rakowski. Ten ostatni widocznie odgrywa rolę naganiacza, a w tym wypadku nagnanym jest p. Radowicz.

Niecna to robota, bagno moralne, zgnilizna. Daj Bóg, ażeby wiadomością tą podły zamach na świętą ziemię naszą został unicestwiony.

* **Związek Spółek zarobkowych na G. Śląsku:** W niedzielę dnia 2-go grudnia odbył się w Bytomiu sejmik Spółek Zarobkowych. Przewodniczył poseł *Napieralski.* Po obszernej a treściwej dyskusyi zgodzono się na urządzenie „Związku Spółek Zarobkowych na Śląsk". Patronem wybrano p. *Eckerta,* członka zarządu banku bytomskiego, wicepotronem p. dra Hyblę, członka zarządu banku w Katowicach, dalszy zarząd tworzą panowie Piechowski, członek rady nadzorczej banku gliwickiego, Gartzka, czł. zarządu banku raciborskiego, oraz rewizorzy pp. Szukalski z Król. Huty i Szyperski z Katowic.

* **Tow. Czytelni Ludowych.** Wszelkie korespondencye w sprawie towarzystwa naszego, zakładania bibliotek itd., prosimy wysyłać wprost do biura naszego pod adresem:

Czytelnia Ludowa Poznań (Posen Bäckerstr. 10).

Adres skarbnika: Dr. Kapuściński Poznań (Posen).

* **Środa.** Z powodu strajku szkolnego przysłała tu rejencya nauczycieli Marksa z Mroczy i Roeslera z Wilkowyi. W poniedziałek wprowadzono ich w urząd. Ma tu przyjść dwóch dalszych nauczycieli. Gmina musi na tych panów płacić 6.140 marek.

* **Gostyń:** Członek dozoru szkolnego w Gostyniu p. *Konieczny* skazany został przez izbę karną w Lesznie **na dwa tygodnie więzienia,** ponieważ napisał do głównego nauczyciela Schmidta obrażający tegoż list.

* **W Prusach Zach.** według informacyi pism tamtejszych wzmaga się codziennie strajk dzieci przeciwko niemieckiej nauce religii. To też władze tamtejsze, pouczone przykładem władz Księstwa, zaczynają składać dozory, ławników i sołtysów z urzędów. Tak jak w Księstwie tak i w Prusach będą to zapewne strachy na lachy...

* **Z Berlina.** Ubiegłej niedzieli odbył się w parafii św. Piusa wiec polski. Mimo słoty około 500 uczestników i wiecowników podążyło na salę „Patria" p. Żurkiewicza. Chodziło o sprawę przygotowania dzieci do pierwszych sakramentów świętych w języku polskim. Nauka ta obecnie się rozpoczyna. Rodzice polscy chcieli się przeto porozumieć, co im uczynić należy. Proboszcz tej parafii ks. dziekan *Frank* na wiec nie przybył, odpowiadając nadto na list p. Fr. Krysiaka, redaktora „Dz. Berlińskiego" — w sposób co najmniej niestósowny. Po wyczerpujących obradach postanowiono jak w tym tak i na przyszły rok dzieci na niemiecką naukę do Sakramentów św. *nie* posyłać, uchwalono zebrać fundusze na to, ażeby dzieci wysłać do Księstwa, by tutaj polscy kapłani przygotowali dzieci te po polsku i w polskim języku do nich przemówili podczas przyjmowania do komunii św. Rodacy z parafii św. Piusa stoją więc twardo na raz obranem stanowisku w tem przekonaniu, że co wolno Niemcom-katolikom w Księstwie, wolno im także w Berlinie. Jest to stanowisko, jakie od szeregu lat już nie tylko rodacy w Berlinie ale i w Wetfalii i Nadrenii zajęli. Stanowisko to słuszne nie tylko ze względów narodowych ale i przedewszystkiem ze względów religijnych. W kościele katolickim niema przywilejów dla różnych narodowości. Są one równe sobie i mają równe prawa wobec kościoła, tak samo jak wobec Boga. — Żywimy nadzieję, że rodacy nasi na obczyźnie na tem stanowisku wytrwają — aż do skutku.

* **W Wolsztynie** toczyły się dnia 6-go bm. przed sądem ławniczym cztery terminy o zmudy szkolne. Oskarżeni byli: pp. Władysław Wojciechowski, Bronisław Wojciechowski, Jan Janiszewski i Jan Karwath, wszyscy z Przemętu. Tłumaczyli się tem, że o areszcie nic nie wiedzieli. Po znakomitej obronie pana mec. Schultza sąd wszystkich oskarżonych uwolnił i koszta nałożył kasie państwowej.

* **Ze Śmigla** piszą do „Gaz. Polskiej", że od Nowego Roku przybędzie tu dwóch nowych nauczycieli, pomimo, że dozór oświadczył, że za koszta stąd powstałe nie odpowiada. Dozór przeciwko narzuceniu gminie kosztów — wdrożył proces. Strajkuje jeszcze 220 dzieci. — Ludność polska gotuje się dać kupcom niepolskim naukę za to postępowanie władz. Nakładają — tak rozumuje lud — władze na nas większe podatki i ciężary, to my już więcej ni grosza, ani złamanego szeląga nie zaniesiemy ani do szynkowni żydowskiej, ani do składu niemieckiego, cygara niemieckiego nie kupimy — wszystko brać będziemy od Polaków. Bardzo dobrze! — Widocznie strajk szkolny zrobił wyłom w głowach nieuświadomionych dotąd — że co swój to przyjaciel, a co obcy, to wróg. Każdy tylko przyjacieli, tylko swoich wspierać powinien, bo w nieszczęściu tylko od nich poparcia dozna. Obcy brutalnie nas odepchną.

* **W Horst-Emscher we Westfalii** uzyskali Polacy radnego swojego. Jestto pierwszy radny polski na obczyźnie. Polaka poparli centrowcy, oburzeni na to, że nie postawiono kandydata katolika — lecz protestanta.

Niedawno temu podczas wyborów w Herne uzyskali Polacy podczas wyborów miejskich na swoich kandydatów — przeszło 700 głosów. Być może, że wkrótce i tutaj Polacy zdobędą sobie radnych Polaków, szczególnie, gdy ludność niemiecka rozbita jest na kilka wrogich sobie obozów. — Hakatystów żółć struje, gdy się dowiedzą, że urgermańska Westfalia — polszczeje.

* **Baczność.** Zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom na dołączony do dzisiejszego numeru „Procy" *cennik Księgarni Katolickiej w Poznaniu, dawniej przy Starym Rynku 53, teraz przy ulicy Jezuickiej 5, tuż przy kościele farnym — na rok 1907.*

* **Firma** *A. Modzelewicz* przy ulicy Wrocławskiej 31 (Zielona apteka) — właściciel p. *Wacław Brodziak* — poleca w ogłoszeniu *skład i pracownię bielizny damskiej, męzkiej, dziecięcej, stołowej, dywanów itd. itd.*

Bieliznę wykonuje się w własnej pracowni. Skład jest zaopatrzony obficie w dobre i rzetelne towary, które się nadają na *praktyczne podarki gwiazdkowe.*

Przedsiębiorstwo powyższe polecamy gorąco względom Szanownej Publiczności.

Nasza ofiarność.

Na fundusz im. ś p. Najprzewielebniejszego Ks. Arcybiskupa Dr. Floryana Stablewskiego — na stałe popieranie nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej — złożyli w naszej redakcyi w dalszym ciągu pp. St. Kochowicz z Bruckhausen 10,80 mrk; J Janaszewski z Kraszej w Morawii 10 mr; Michał Skowroński z Duisburga 3 mrk; zebrano na imieninach p. Piotra F. w Hamburgu: pp. P. Fitzner 2 mrk; Ślusarek 1 mrk; Paczkowski 1 mrk; Jankowiak 1 m; Brzeziński 1 mrk; Brzeliński 50 fen; Lis 20 fen; Katarzyna Fitzner 1 mrk; razem 7 mrk. 70 fen; Towarzystwo śpiewu polkiego „Lutnia" z Bremy 20 mrk. (Wspomniane Towarzystwo wybrało Komitet, który ma się zająć zbieraniem składek pomiędzy tamtejszą Polonią na cel tak wspaniały a tak drogi dla każdego serca polskiego. — Brawo! Przyp. Redakcyi.) Towarzystwo polsko-katolickie z Wrocławia 10 mrk; Towarzystwo Przemysłowe w Kłecku 15 mrk, jako czysty zysk po obliczeniu z odbytego teatru; p. St. Mocek ze Szczecina 17 mrk; 40 fen. Sumę tę zebrano na wieczorku Mickiewiczowskim, urządzonym przez Towarzystwo „Jedność"; p. A, Łucka se Stanisławowa (Galicya) 1 mrk.

Razem złożono dotychczas 146.70 fen.

* * *

Na weterana z roku 1863-go schorzałego i biednego, zagrożonego wydaleniem z mieszkania wobec nadchodzącej zimy odebraliśmy w dalszym ciągu od p. Józefa Jurka z Stuttgardu 2 mrk. pani A. Łuckej ze Stanisławowa (Galicya) 1 mrk; p. Szwaby z Drezna 1 mrk. i p. St. Mocka ze Szczecina 10 mrk. Sumę tę zebrano na wieczorku Mickiewiczowskim, urządzonym przez Towarzystwo „Jedność". Razem na ten cel zebraliśmy 113 mrk. 62 fen. Z tej sumy wypłaciliśmy komu należy 102 mrk; resztę 11 m. 62 fen. posiadamy w kasie do ewent. dalszej dyspozycyi i zamykamy na cel powyższy niniejszem składkę.

Sprostowanie: W numerze ostatnim (48-ym) pokwitowaliśmy na cel powyższy 4 mrk. nadesłane z Grodziska i pominęliśmy nazwisko p. Adama Szulczewskiego z Grodziska, który także dał 1 mrk; zatem owe 4 mrk. złożyli pp. Adam Szulczewski, Wojciech Stachowski, Adam Szermer i Adam Mierzejewski, każdy po 1 mrk.

* * *

Na kościół w Morzewie: p. A. Łucka ze Stanisławowa (Galicya) 1 mrk.

* * *

Z Wieszczyczyna nadesłał nam ks. *Walenty Nowicki* dalszy spis osób, które złożyły na jego ręce *ofiary na odbudowanie kościoła w Wieszczyczynie.* Spisu tego, zamieszczonego w codziennych gazetach, dla braku miejsca, nie możemy ogłosić. Ks. Nowicki składa wspaniałomyślnym ofiarodawcom w imieniu swojem i parafian szczere podziękowanie i prosi o dalsze datki.

* * *

Na żłóbek poznański nadesłał nam p. Szwaba z Drezna 8 mk. 55 fen. Sumę tę zebrano dnia 9-go b. m. na obchodzie Mickiewiczowskim, urządzonym przez Towarzystwo polsko-katolickie p. o. ś. Wojciecha w Dreźnie.

* * *

Na katechizmy polskie: Janina i Tadzia z Drezna po 1 mrk, razem 2 marki.

Od Redakcyi.

— *100 b.*: Prosimy wpierw o doniesienie, czy matka żyje, a powtóre, jakiego to rodzaju był ów dokument. t. j. czy zapis wygotowany był sądownie i gdzie? — Po odebraniu tych informacyi będziemy mogli Panu udzielić odpowiednich wskazówek.

— *Pani W. K. w Gnieźnie.* Sezon w teatrze polskim w Poznaniu rozpoczyna się zwylke w połowie kwietnia a kończy w końcu kwietnia.

— *Pani Maryi Zborowskiej w Andrychowie (Galicya).* — Zamówić Szanowna Pani może żądany kalendarz za pośrednictwem księgarń poznańskich. Oto firmy: A. Cybulski, B. Chrzanowski, J. Leitgeber, W. Templowicz.

— *Panu Maksymilianowi M. w Poznaniu (Wilda).* — Wysłaliśmy nagrodę.

— *Panu J. Szarafińskiemu w Kuczwałach (Pr. Zach.).* — Życzone powieści zupełnie wyczerpane.

— *Panu Stanisławowi G. w W.* — Zamów Szanowny Pan w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu z odwołaniem się na „Pracę".

— *W. M.* — Naturalnie! Kto chce coś poważnego napisać musi wziąć pióro do ręki, usiąć i myśleć. Jeżeli atoli Panu się zdaje, że rzecz pańska jest poważną, to się pan grubo myli. Jest ona, jak słusznie pańska bogdanka powiedziała, za co się Pan niesłusznie na nią pogniewał — nudną. Niech Pan nie pisząc szczęśliwie kładzie się spać, a mamy nadzieję, że Pan znowu odzyska chęć do kobiet. Literatura polska na takich nowelkach nic nie straci — mogą tylko kosze redakcyjne się zapełnić.

— *Czytelniczce z nad Wełny.* — Mocno żałujemy, że Pani nam o zajściu tem zaraz nie doniosła. Sprawki takie kuje się na gorącem żelazie, gdy dochodzą do wiadomości publicznej, później ludzie nie dowierzają dobrym intencyom. Oczywiście godzimy się w zupełności na potępienie, a przynajmniej na ostrą naganę dla młodzieży tańczącej i matek-opiekunek. Widocznie ni owe matki, ni córy, ni synowie nie odczuwali smutnego położenia chwili, w której nasz arcypasterz spoczął na łożu śmiertelnym. Wągrówiec winien się poprawić.

— *Panu Franciszkowi Z. w Raciborzu.* — Wierszy o młodzieży i do młodzieży zamieściliśmy mnóstwo w różnych czasach i w różnych rocznikach. Prosimy o łaskawe dokładne podanie nam tytułu wiersza i rocznika „Pracy," w którym był zamieszczony. Wówczas prośbie Szan. Pana zadosyć uczynimy.

—*Panu Michałowi Sk. w Duisburgu.* — Najuprzejmiej dziękujemy za serdeczne współczucie z powodu nowych ciosów i zasyłamy miłe pozdrowienie.

— *Panu S. w Dreźnie.* — W Dreźnie jest na poczcie około 20 abonentów.

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

33

Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

W Poznaniu założył Napoleon główną swoją kwaterę; tu zabawił czas dłuższy, obchodził rocznicę koronacyi i bitwy pod Austerlitz, podpisał traktat z królem saskim, który przystępował do konfederacyi reńskiej i ztąd wydawał rozkazy swym wojskom, gromadzącym się w Warszawie i mającym przeprawić się przez Wisłę, ażeby uderzyć na nieprzyjaciela rozłożonego na prawym jej brzegu. [1])

Niespodziewanie, według swego zwyczaju, pomknął Napoleon z Poznania do Warszawy i stanął tu w nocy z 18. na 19-go grudnia. Jako straż honorowa oczekiwał tu na wybawcę orszak młodzieży z wyższych rodzin w stroju kawaleryi narodowej pod dowództwem Tadeusza Tyszkiewicza. Stolica była udekorowana świetnymi łukami tryumfalnymi; pod jednym unosił się złoty orzeł z napisem:

— *Venit, et lux facta est!* [2])

Ale wskutek nocy uroczystego przyjęcia być nie mogło; przyjęli cesarza „sami królowie polscy, zdobiący w zamku izbę marmurową; ojczyznę i dzieci swoje oddali opiece jego.“[3])

Jednakże samolubnemu władzcy, mającemu tylko własne cele na myśli, nie podobały się te targi i warunki, jakie począwszy od patrzącego dalej Kościuszki stawiano mu z Paryża i układano dlań w Warszawie i drażniło go to pragnienie, jakie wyraźnie głosił książę Józef Poniatowski:

Przedewszystkiem należałoby ogłosić królestwo polskie a królem obrać księcia Adama Czartoryskiego! Zachodziły też okoliczności, które jak zimne strugi wody, studziły zapał podnieconego narodu. I wnet okazał się bardziej zimny, samolubny charakter dumnego władzcy, jakoteż niecierpliwość i oburzenie francuskiego wojska, patrzącego ze wstrętem i szyderstwem na kraj polski.

Oto Prusacy i Moskale cofając się przed zwycięzcami wywieźli byli wszystkie zapasy za Wisłę, a niszczyli te, których nie mogli zabrać. Postępujący za nimi żołnierze francuscy znalazłszy się w niedostatku, cierpiąc do tego zimno, do którego nie przywykli, sarkali teraz i przeklinali:

— Ach, przeklęty kraj ta Polska! Zimno tu i bieda i ładnie nas przyjmują, że nam nawet jeść nie dadzą!

— Tak, tak, w kraju przez nas wybawionym powinniśmy we wszystko opływać!

To też z tego powodu nastąpiło przykre zajście, zgasły miny u Polaków i niejednemu przypomniał się tak daleko i trzeźwo przewidujący Kościuszko, gdy najwyższa Izba administracyjna spotkała się z Napoleonem. Przyszły zbawca Polski krzyknął wtedy groźnie do Polaków:

— Jeżeli natychmiast wszystko i w obfitości dostarczone mi nie będzie, spalę wasz kraj i zostawię pod kijem wrogów!

Gdy do tego niektórzy wodzowie francuscy zaczęli postępować tak dziko i surowo, jakby się znajdowali w kraju nieprzyjacielskim, nikły nadzieje i powszechna radość w narodzie polskim. Dla tak miłych „wybawców“ zabierano

[1]) Sokołowski, VI, 1324; Morawski, VI, 62.
[2]) Przybył i stało się światło!
[3]) Morawski, VI, 64.

A. Czechow.

Ciemnota.
NOWELA.

Młody, jasnowłosy i kościsty parobczak w podartym kożuchu i wielkich czarnych wojłokowych butach czekał, kiedy doktór, skończywszy przyjęcie w szpitalu, wracał do swego mieszkania i poszedł ku niemu z nieśmiałością.

— Ja do pana — powiedział.

— A cóż chcesz?

Chłopak pociągnął sobie dłonią po nosie z dołu w górę, popatrzył w niebo i dopiero potem odpowiedział.

— Ja do łaski pana... Tu u ciebie, wielmożny panie, w oddziale dla więźniów jest mój brat Waska, kowal z Warwarina...

— Tak, no więc cóż?

— Ja, znaczy się jestem Waśk brat... Nas jest dwóch u ojca: on Waśka, no i ja Kirył. A oprócz nas trzy siostry, a Waśka żonaty i dzieciska są. Ludzi dużo, a do roboty nikogo niema... W kuźni niemal dwa lata ognia nie rozpalali. Ja sam pracuję na fabryce perkali, na kowalstwie nie znam się, a z ojca co za robotnik? Prawdę mówiąc, nietylko pracować, ale on i jeść jak się należy nie może, łyżką do gęby nie trafi.

— Więc czegóż ty chcesz odemnie?

— Zrób łaskę, uwolnij Waśkę!

Doktór popatrzył ze zdziwieniem na Kiryła, i nic nie mówiąc, poszedł dalej. Chłopak pobiegł naprzód i tu padł mu do nóg.

— Doktorze, dobry panie! — błagał, mrugając oczami i trąc znowu nos dłonią. — Uczyń łaskę boską, puść Waśkę do domu! Będę wiecznie do Pana Boga za ciebie się modlił. Wielmożny panie, wypuść go! Z głodu wszyscy zdychają! Matka całemi dniami płacze... Waśkowa baba płacze... Poprostu śmierć! Na świat Boży nie patrzałbym! Zrób łaskę, uwolnij go, panie łaskawy.

— Głupi ty jesteś czy zwaryowałeś? — zapytał doktór, patrząc na niego ze złością. — Jakżeż ja mogę jego uwolnić? — przecież on jest więźniem!

Kirył zapłakał.

— Uwolnij!

— Ot, dziwak! Jakiesz ja mam prawo? Naczelnikiem więziennym jestem, czy co? Przyprowadzili go do szpitala leczyć, więc leczę, a uwolnić go, ja mam takie same prawo, jak ciebie zamknąć do więzienia. Głupia głowo!

— Ale jego zupełnie niesłusznie posadzili! Nim osądzili, on prawie rok siedział w areszcie, a teraz pytanie, za co siedzi? Żeby on zabijał, czy choć konie kradł, a to tak popadł nie wiadomo za jakie winy.

— Prawda. Ale czyż to do mnie należy?

— Posadzili chłopa i sami nie wiedzą za co. Był on raz trochę pijany, wielmożny panie, nic nie rozumiał i nawet ojca wyrżnął w ucho, a sobie skroś skaleczył o sęk, po pijanemu, no a dwóch naszych chłopców — zachciało im się, widzisz, tureckiego tytoniu — zaczęli go namawiać, żeby żeby i on z nimi zakradł się do ormiańskiego sklepiku, po tytoń. On, wiadomo po pijanemu, i posłuchał dureń. Złamali zamek, wleźli do sklepu i dawajże tam różne awantury wyprawiać. Wszystko porozrzucali, szkło pobili, mąkę wysypali . Jednem słowem — pijani. Nu, a tu zaraz uriadnik.... to to, to owo, no i do śledczego. Całuśki rok w areszcie siedzieli, a tydzień temu, w środę, sądzili wszystkich trzech w mieście. Żołnierz stoi z tyłu z karabinem.... ludzie przysięgali. Waśka przecie najmniej winny, a oni panowie to tak osądzili, że Waśka to pierwszy koniokrad. Tych

teraz wszystko co mieszkańcy posiadali tak w domu, jak w stodole, spichrzu i spiżarni [1]).

Te pierwsze zachwyty i powszechny zapał, z jakim Polacy oddawali się Napoleonowi wywarł wielkie wrażenie na carze Aleksandrze, który miał ochotę zwrócić się teraz do Polaków i czynił pewne postanowienia:

— Muszę znowu ująć sobie naród polski, a więc odnowię mu dawne moje przyrzeczenia!

Ale Polacy nie słuchali już teraz jego obietnic, a Czartoryski i Kniaziewicz, wzywani przez niego, ażeby w służbie rosyjskiej organizowali polskie korpusy [2]), odpowiadali stanowczo:

— Nie zrobimy tego, bo było by to wznieceniem wojny domowej!

Nie bez zazdrości patrzył Aleksander na ten szalony entuzyazm [3]) całej Polski dla Napoleona i słuchał tego co mu donoszono:

— Najjaśniejszy Panie, Napoleon jest teraz dla Polaków bożyszczem, z jego geniuszem [4]) i szczęściem związali oni na zawsze swoje losy! [5])

A przecież, gdy wezwany przez niego Czartoryski przedstawił mu obszerny memoryał (5-go grudnia 1806 r.), w którym wykazywał:

niebezpieczeństwo dla Rosyi, jeśliby Napoleon pozyskał zupełnie Polaków — i znowu radził: ażeby Aleskander ogłosił się królem poskim, — ażeby Polska i Rosya, jako państwa nierozdzielne, zostawały stale złączone pod wspólnem berłem carów risyjskich i królów polskich, — car Aleksander odrzucił ten memoryał, lekceważąc wyraźne korzyści, jakie Rosya z takiego odbudowania Polski by odniosła. Zmienny car widocznie tak sobie myślał:

— Jak tylko zwycięstwo nad Francuzami odniosę, układy z Polakami będą mi niepotrzebne!

— Ani Napoleon, ani ja, związany przymierzem z Prusami, życzliwy będąc Austryi, nie myślimy przecież o odbudowaniu Polski w dawnych jej granicach!

I pomijał tę tak teraz żywotną sprawę polską, a nawet Polaków w swym zaborze podejrzywać i lekceważyć począł. Nic też dziwnego, że w takich warunkach naród polski zwracał się do Francyi, że nie szczędził ofiar na uzbrojenie wojska polskiego i że rosła coraz bardziej wiara i nadzieja w Napoleona. [6])

On zaś, oceniając to zupełnie oddanie się Polaków i rozważając dalekie swoje plany, myślał z pewną nadzieją:

— Na kilka set mil od Francyi zyskuję dla wojsk moich bezpieczne leże zimowe i pewną niewzruszoną dla działań wojennych podstawę operacyjną! A i żywności tudzież potrzeb wojennych dostarcza teraz kraj obficie do głównych składów w Warszawie i Łęczycy!

Napoleon utworzył t. zw. *Komisyę Rządzącą*, złożoną z siedmiu członków Sejmu Wielkiego [7]). Byli to: Ludwik

[1]) Morawski, VI, 64.
[2]) Korpus, z łać., ciało, znaczny oddział wojska różnej broni.
[3]) Entuzyazm, z greck., zapał, gorliwość, zachwyt.
[4]) Geniusz, umysł wyższy, najwyższy stopień uzdolnienia człowieka także twórczość duch.
[5]) Lewicki, 384.

[1]) Sokołowski, IV, 1325.
[2]) Przy mianowaniu członków tej Komisyi należy jeszcze powrócić do Kościuszki i wyjaśnić, dlaczego mając sposobność do działania dla kraju, od takowego się usunął. — Oddawna będąc na uboczu Kościuszko rozważał, przypominał sobie wszystko i cierpliwie czekał sposobnej chwili. A po klęskach ojczyzny bohater Racławic „nie mógł sobie dać rady ni moralnie, ni fizycznie", pierś miał pokrytą bliznami, nogę poszar-

---

obydwóch do aresztu, a Waśkę do rot aresztanckich na trzy lata. A za co? Rozsądź po Bożemu!

— Ale w każdym razie to wszystko nie należy do mnie. Udaj się do wyższej władzy.

— Ja już tam byłem u nich. Chodziłem do sądu, chciałem podać, a oni i prośby nie przyjęli. Byłem i u stanowego i u śledczego byłem; każdy mówi: nie moja rzecz! No więc czyjaż to rzecz? A w szpitalu, to już przecie starszego niema. Co chcesz, wielmożny panie, to i robisz.

— Głupi jesteś — westchnął doktór. — Jeżeli przysięgli skazali, to już nie może pomódz ani gubernator, ani nawet minister, a cóż dopiero stanowy. Napróżno starasz się.

— A któż ich osądził?

— Panowie sędziowie przysięgli.

— Et, jacyż to panowie. Nasi chłopi byli. Andrzej Gurjew był i Aleksy Chuk był.

— No, ale zimno mi, nie mogę z tobą dłużej rozmawiać...

Doktór machnął ręką i poszedł szybko do swojego oddziału. Kirył chciał iść za nim, lecz zobaczywszy, że drzwi zamknięte, zatrzymał się. Stał kilka minut nieruchomo pośród szpitalnego podwórza i nie wkładając czapki, patrzał w stronę doktorskiego mieszkania, potem westchnął głęboko, podrapał się powoli po głowie i poszedł w stronę wrót.

— Do kogoż więc iść? — mruczał wychodząc na drogę. — Jeden mówi: nie moja sprawa — drugi też — nie moja. No więc czyja? Nie, pewno, póki nie posmarujesz — nic nie poradzisz. Doktór to niby mówi, a tam tylko patrzy cały czas na moją garść, czy nie dam mu sinego papierka? Nie, bracie, ja i do gubernatora zajdę.

(Dokończenie nastąpi.)

Czerwony znak.

14) Z włoskiego tłumaczył **A. P.**

(Ciąg dalszy).

Po obiedzie rozpoczął Hamilton rozmowę o polityce, lecz Caradini mówił o wszystkiem tak spokojnie i z takiem zrozumieniem rzeczy, że tylko wytrawny dyplomata mógł się w ten sposób wyrażać. Jeżeli mówił ostro o wszelkich rządach europejskich, to zaraz chwalił te lub owe urządzenia, jeżeli ganił despotyzm w wojsku, to unosił się nad porządkiem i dyscypliną wojskową. Jeżeli uważał za wysokie wydatki na flotę, to uznawał jednak potrzebę budowania okrętów, lecz potępiał stanowczo nieład w Francyi, Hiszpanii a mianowicie we Włoszech.

— Każdy, znający się chociaż trochę na polityce, — myślał Hamilton, — miałby te same zapatrywania i obraziłby się śmiertelnie, gdyby go kto nazwał rewolucyonistą.

Około dziesiątej rozłączyli się. Hamilton napisał jeszcze przed udaniem się na spoczynek, kilka słów do Stelli, donosząc jej, że stanął szczęśliwie na miejscu i że dotąd jest z wszystkiego zadowolony. W liście tym podpisał się „Frank Middleton" lecz nie podał swego adresu, i zaniósł go sam na pocztę.

Wieczór był ciepły. Na niebie jaśniały gwiazdy, jako zwiastuny pogody na dzień następny, i Hamilton wracał wolno do karczmy, myśląc o Stelli. Nie przeczuwał nieszczęścia, jakie spotkało młodą dziewczynę, mającą mu w danym razie spieszyć na pomoc......

Zdawało mu się, że wszystko wyjaśni się teraz i skończy jak najlepiej......

W tej samej bowiem chwili, w której Hamilton zdołał niepostrzeżenie opuścić Londyn, stała się młoda Wło-

Gutakowski, Stanisław Kostka Potocki, Józef Wybicki, Ksawery Działyński, Piotr Bieliński i Walenty Sobolewski, starosta warszawski, z prezesem sędziwym marszałkiem tegoż Sejmu, Stanisławem Małachowskim.

pałą od ostrza bagnetu i głowę porozioną trzema krzyżującemi się z sobą cięciami. Kiedy lała się krew polska strumieniami na ziemi włoskiej, on listami zagrzewał do walki, myślą i sercem będąc z towarzyszami broni. Z drżeniem serca czekał tej chwili, w której rząd republiki francuskiej zwróci się do niego z takiem wezwaniem:

— Jenerale! Czas nadszedł! Spełniamy dług wdzięczności! Prowadź swoich bohaterów i nas razem z nimi do twojej ziemi krwią przesiąkłej, azeby obalić tyranów i ugruntować wolność!...

Nie doczekał się tego, lecz wtedy przyszedł do niego z powitaniem młodzieniec chmurny, już sławą okryty (w listop. 1799 r.) i wtedy Kościuszko przeniknął jego ducha, bo rzekł ze smutkiem:

— Ten Bonaparte nie myśli wcale o wolności narodów, ten wódz zimny nie stworzy republikańskiej Europy!

Przestrzegał też potem członków rządu:

— Strzeżcie się tego młodzieńca, bo on knuje coś złego! W jego dumnej głowie roi się wszystko może, tylko nie marzenia o uszczęśliwieniu społeczeństw, tylko nie hołd dla idei wolności! To też w kilka dni później szli żołnierze Napoleona na bagnety przeciwko reprezentantom ludu a Bonaparte ogłosił się Pierwszym Konsulem Francyi:

I przypominał sobie dalej Kościuszko:

— Przed kilku laty mówił Napoleon, że „kocha i ceni bardzo Polaków, że rozbiór Polski jest czynem nieprawości, który się utrzymać nie może, że po ukończeniu wojny włoskiej on sam pójdzie na czele Francuzów, aby zmusić Rosyan do oddania Polski"...

Tak było przed wojną a po wojnie?... Zapomniał Napoleon o tych słowach, które mówił do Sułkowskiego... i na dwukrotne plany Dąbrowskiego wyruszenia do Polski (w l. 1797 i 1800) nawet odpowiedzieć nie raczył... Austryi w pokoju lunewilskim pozwolił zgładzić Legiony polskie... Tych, którzy mu własną krwią okupywali tryumfy, myśląc, że się poświęcają dla przyszłego dobra ojczyzny, wysłał przeciwko murzynom w San Domingo na pewną, straszną zagładę...

To też w r. 1801, gdy minister policyi Fauché zawiadomił Kościuszkę że „Pierwszy Konsul wspominał o nim", on odpowiedział wtedy z goryczą i pogardą:

— O, ja już nawet nie mówię o nim nigdy!

Teraz (w r. 1806), gdy wielki cesarz Napoleon wybierał się na wyprawę do Rosyi i wymagał pomocy Kościuszki, ten śmiało zarządał dowodów, że cesarz wywdzięczy się Polsce za jej pomoc. Dumny, zaufany w siebie, nie znoszący oporu cesarz już przedtem zapewnił był zachwyconych nim Dąbrowskiego i Wybickiego, że „Kościuszko przemówi niebawem do narodu". Niespodziewana odmowa Kościuszki zdziwiła go bardzo i rozgniewała. Ale widząc, że łatwowierny naród polski ściele mu się do stóp i zdaje mu się na łaskę i niełaskę, już żałował, że w Berlinie obiecywał deputacyi niepodległość Polski pod warunkiem jedynie wystawienia 30,000 wojska. W Poznaniu już stawiał warunki, że dopiero wtedy „ogłosi niepodległość Polski, gdy zobaczy, że ją Polacy będą popierać". W Warszawie zaś mówił dumnie:

— Niech się zobowiążą utrzymać króla, jaki im będzie dany, a wtedy zobaczę, co mam uczynić!

Cały ten dumny i pyszny charakter i to zimne samolubstwo Napoleona jasnem było dla Kościuszki, niczego on się po nim nie spodziewał i często powtarzał:

— Nie mieli powodu Polacy tak daleko szukać despotyzmu Napoleona!

Że jednak głośne imię Kościuszki przedstawiało jeszcze siłę, której tak Polacy potrzebowali, a Napoleon szukał wielkich ludzi, którzy by mu służyli, więc policya francuska umieściła w dziennikach niemieckich zmyślną odezwę Naczelnika, że przybędzie do szeregów. Gdy zaraz dziennik francuski „Publiciste" umieścił inną odezwę Kościuszki, w której zaprzeczył on tej pierwszej wiadomości, a nadto widząc się obarczonym zarzutami przez rodaków, napisał ów list do Fauchégo, w którym stawiał swoje warunki co do przyszłej Polski, Napoleon tak się rozgniewał, że zawołał głośno:

— Ten Kościuszko jest poprostu głupcem!

A mając wybierać owych członków Komisyi, dodał rozkaz:

— Proszę dodać mi spis imion mężów polskich, którzy odznaczyli się na Sejmie Czteroletnim!

I z tego spisu wybrał owych wymienionych wyżej członków Komisyi Rządzącej i ministrów.

Jednakże cóż pomyśleć o tem obelżywem odezwaniu się Napoleona o naszym wielkim bohaterze?! Takiej zniewagi doczekał się ślepo oddany mu naród polski w osobie najszlachetniejszego, najwięcej bohaterskiego, najukochańszego z pośród jego synów. A ten bohater nasz był niewątpliwie, jeśli nie duchem, to sercem stokroć większy, piękniejszy od samolubnego i ponad wszelkie granice dumnego Napoleona, które to samolubstwo swem subtelnem, delikatnem, wrażliwem sercem już dawno przezuł, nie wierzył temu złemu geniuszowi i entuzyazmu narodu swego dłoń nie podzielał. — Marawski, VI, 65,66, (porówn. „Napoleon u Kościuszko", „Głos Narodu" ur. 80, Kraków 1901).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

szka ofiarą sprzysiężonych, którzy ani jej ani Hamiltona nie spuszczali z oka.

Żadne z nich nie myślało, aby z powrotem Stelli dorożką, łączyło się jakie niebezpieczeństwo. Dorożkarz znał jej adres, można więc było przypuszczać, że nawet małemu dziecku nieby się złego w przeciągu tej półgodzinnej jazdy stać nie mogło.

Ale spiskowcy przygotowali potajemnie wszystko, aby wywołać sztucznie jeden z drobnych wypadków, jakie często same się zdarzają na ożywionych ulicach wielkich miast. Na dorożkę, w której siedziała Stella, najechał inny jakiś powóz — nieszczęścia wielkiego nie było, ani wielkiej szkody — stłuczona szyba i złamany dyszel, ale na miejscu wypadku zgromadziło się natychmiast mnóstwo osób i zaglądało tak ciekawie do dorożki, że Stella przestraszona wolała wysiąść i dalej iść pieszo, niż być dłużej przedmiotem niegrzecznej i natrętnej ciekawości.

Ale nie znając Londynu i nie umiejąc po angielsku, stała przez chwilę bezradna i z prawdziwą wdzięcznością przyjęła propozycyę jakiegoś pana, który przemówił do niej po francusku, ofiarując się zaprowadzić ją do innej dorożki.

I w strachu i przerażeniu swojem nie zważała wcale na to, że ów nieznajomy mężczyzna nie spytał jej wcale o adres, który powinien był wymienić dorożkarzowi. Wsiadła szybko do powozu i odetchła swobodnie, gdy konie ruszyły. Ale po upływie pół godziny zaczęła się dziwić, że jeszcze nie jest na ulicy, na której leżał pałac barona Ravendale. Wyjrzała oknem, lecz nie znając miasta, nie miała wyobrażenia, w jakiej się znajduje okolicy. Zauważyła tylko tyle, że wązka i ciemna ulica, którą właśnie jechała, żadnego nie miała podobieństwa do wspaniałego Hyde-Parku. Wychyliła więc głowę z okna i kazała dorożkarzowi stanąć. Wołała na niego najpierw po włosku, potem po francusku, ale dorożkarz nie rozumiał widocznie czego żądała, bo nietylko, że nie myślał zatrzymywać się, lecz nadto zaczął konie bić tak niemiłosiernie batem, że przestraszone zwierzęta pędziły jak szalone. W następnej chwili wjechała dorożka w jakąś otwartą bramę, i zanim Stella, na wpół żywa ze strachu, słowo zdołała wymówić, uczuła się pochwyconą w dwa silne ramiona, i przeniesioną do jakiegoś pokoju.

Drzwi z głośnym trzaskiem zamknęły się za nią.

Wtedy dopiero podniosła Stella głowę i z przeraźliwym krzykiem upadła zemdlona. W kobiecie bowiem, stojącej przy drzwiach i mającej broszkę z wyciętą kameą, poznała podług opowiadania Hamiltona owego „Anioła", którego się wszyscy tak bardzo lękali!

ROZDZIAŁ XX.

Przy pierwszem zaraz widzeniu się z Caradinim poznał Hamilton, że niecierpliwością i pospiechem nic nie zyska. Trzeba mu było studyować najpierw charakter tego Włocha.

Nazajutrz, gdy zeszedł na dół na śniadanie, powiedziano mu, że Caradini udał się już do grobowca. Mały posługacz z karczmy zanosił mu tam codziennie drugie śniadanie, i to około dwunastej.

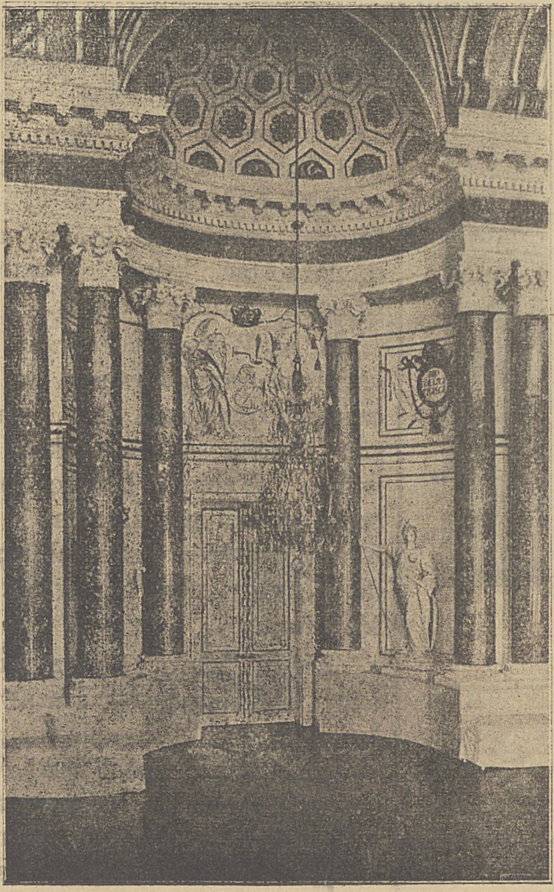
O jedenastej poszedł Hamilton również do mauzoleum, gdzie mu pułkownik kazał już zanieść stół i krzesło, aby wygodnie mógł pracować.

Hamilton rozłożył na stole swoją książkę, kupioną w Steines, zeszyt i ołówek i zbliżył się do Caradiniego, który siedząc na dosyć wysokiem rusztowaniu, pozdrowił go uprzejmem „dzień dobry" i w milczeniu pracował dalej. Wykonywał właśnie niezmiernie misterne ornamenta w jednym z filarów marmurowych — Hamilton przyglądał mu się chwilę i poszedł potem w przeciwną stronę, tam, gdzie najstarsze stały pomniki.

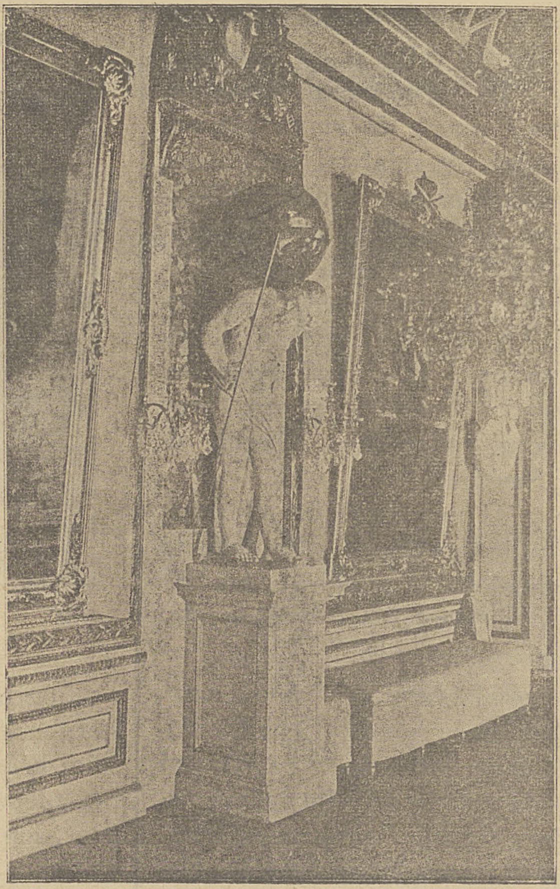
(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRACA
Tygodnik illustrowany

Zamek królów polskich w Warszawie.



Wejście do sali kolumnowej w zamku królów polskich w Warszawie z medalionem Stanisława Augusta.



Zegar z Saturnem w sali kolumnowej w zamku królów polskich w Warszawie.

Daremnie szukać w kronikach początków zamku warszawskiego. Nie długiem — stosunkowo — jest jego istnienie, ale kto go zaczął budować i kiedy — niewiadomo. Książęta mazowieccy mieli zamek skromny; do dziś jeszcze istnieją jego ślady na rogu Dunaju i Rynku Staromiejskiego. Książę Janusz, nie mogąc się w tej ciasnej budowli pomieścić ze swymi dworzany, wystawił nowy zamek za ulicą Grodzką, na stoku wzgórza spadającego ku Wiśle. Podobno była to budowla drewniana, ale zdania pod tym względem są podzielone.

Po wymarciu książąt mazowieckich w zamku warszawskim przebywał chętnie Zygmunt August, mieszkała tu królowa Bona i Anna Jagiellonka, a każdy z dostojnych gości wznosił nowe budowle, odnawiał i przebudowywał dawne.

Rok 1607-y jest początkiem istnienia zamku w tej mniej więcej formie, w jakiej go dziś widzimy. Było to za czasów Zygmunta III. Król, po spaleniu się zamku krakowskiego, przeniósł się do Warszawy, wydał w roku 1598-ym akt, w którym Warszawę nazwał miastem stołecznem Polski, poczem bezzwłocznie przystąpił do przebudowy zamku. Plan budowli opracował architekt Andrzej Hegner Abrahamowicz. Według planu tego zamek warszawski nie miał być warownią — jak dawniejsze tego rodzaju budowle — w każdym jednak razie z góry już postanowiono, że będzie to budowla monumentalna, mogąca w razie potrze-

by służyć za miejsce obronne przeciw atakom zewnętrznym. Gmach posiadał formę pięciokątu i miał być wzorowany na jednym z zamków szwedzkich, który wzniosła Katarzyna Jagiellonka w mieście Drötengholm na wyspie Lofön.

Najpierw stanął front od strony Krakowskiego Przedmieścia. Z ówczesnych sal pozostały do dziś sejmowa i tronowa, znajdujące się obecnie w drugiem podwórzu. Dziś sale te służą za koszary dla wojska.

W r. 1619-ym stanęła wieża zamkowa, fundowana przez Zygmunta III, ztąd też „Zygmuntowską“ zwana.

Następcy Zygmunta III-go, synowie jego, Władysław IV i Jan Kazimierz, rozszerzali zamek, przerabiali go, odnawiali, a jako ślad tych robót do dziś widnieją nad bramami wewnętrznemi „snopki“, godło herbowe rodziny Wazów.

Wkrótce po zniesieniu zamku, spadła nań klęska. Szwedzi, zająwszy Warszawę w r. 1655, zamek zrabowali i spalili, tak, że tylko mury nadpsute pozostały. Po wypędzeniu Szwedów, przywrócono zamek do stanu pierwotnego, ale już nie miał tej wspaniałości, jaką mu Wazowie nadali. Mieszkali w nim Michał Korybut Wiśniowiecki i Jan III Sobieski.

Królowie z dynastyi saskiej, August II i August III, uważali zamek za niedogodny, i zbudowali sobie pałac olbrzymi „Saskim“ zwany, przy dawniejszym zwierzyńcu, obecnie ogrodzie „Saskim“.

August III przystąpił do odnawiania zamku królewskiego. Za jego to czasów stanął front zamkowy, ku Wiśle zwrócony, zbudowany według planu Antoniego Solarego.

Najskrzętniejszym opiekunem zamku był Stanisław August Poniatowski, który, nie chcąc korzystać z rezydencyi saskiej, zabierał się do odnowienia pałacu królewskiego. Restauracya trwała od r. 1771 przez lat piętnaście; kierował nią Dominik Merlini, architekt włoski. Wówczas to cały zamek wewnątrz gruntownie przebudowano i przerobiono.

Z owych czasów pochodzą najpiękniejsze sale do dziś istniejące, jak: „Kolumnowa,“ „amarantowa“ i inne. Salę kolumnową zdobi szereg kolumn marmurowych, o wspaniałych kapitelach korynckich. Wysokość sali kolumnowej sięga przez dwa piętra zamku. Sklepienie zdobią malowidła pędzla Bacciarellego. W sali tej za Stanisława Augusta odbywały się najwspanialsze bale i przyjęcia, na których zbierał się cały ówczesny świat naukowy i polityczny polski. Sala „amarantowa“ nosi nazwę od obicia jedwabnego, którem pokryte są ściany. Dziś w sali tej, prócz żyrandoli, niema nic z czasów Stanisławowskich. Meble są znacznie późniejsze.

W roku 1806-ym gościł w zamku królewskim Napoleon. *H.*

Z dziejów upadku Prus.

(Wspomnienie historyczne).

V.

Napoleon w Warszawie.

Dwukrotnie gościł Napoleon w Warszawie.

O pierwszym tym pobycie w połowie grudnia roku 1806, w 100 rocznicę, kreślimy treściwe wspomnienie.



Cesarz Napoleon I.

Pogrom Prus pod Jeną i Auerstädt otworzył, jak wiadomo, zwycięskiej armii drogę do Berlina. Tam poraz pierwszy stanęła przed Napoleonem deputacya polska, której rzucił obietnicę warunkową, w tonie dość szorstkim i w pamiętnych historycznych słowach: *„Zobaczę, czy Polacy godni są być narodem.“*

W nocy z dnia 25-go na 26-ty listopada opuścił Berlin i 27-go b. m. stanął w Poznaniu, gdzie go wszędzie witano mowami, z których jedna była mimowoli proroczą. Oto najstarszy z senatorów polskich wojewoda Radziminski wyrzekł w formie panegiryku.

— Północ będzie kresem tryumfów wielkiego Napoleona!

Ani przypuszczał mówca, że w lat 6 później nastąpi istotnie w północnej stronie „kres tryumfów Napoleona.“

Na wszystkie mowy powitalne Napoleon dawał niejasne obietnice, których nigdy nie spełnił, a żądał poświęceń i ofiar, które zostały święcie dopełnione.

— Chcę — prawił — w Warszawie ogłosić niepodległość waszą, chcę tam na nowo wrócić istność polityczną waszemu narodowi, ale niech widzę skutki waszego zapału; na słowach i oświadczeniach nie przestaję.

Te wyrazy poruszyły i zelektryzowały wszystkich. Sceptykom i niedowiarkom wielbiciele Napoleona mówili:

— Przecież zapewnił, iż w Warszawie będzie niepodległość; czekajcie, aż się zjawi w Warszawie. Tymczasem wojska francuskie posuwały się naprzód, a pruskie przed niemi ustępowały. W ten sam dzień, gdy Napoleon wjeżdżał do Poznania, Francuzi wchodzili do Warszawy, zapowiadając witającym ich entuzyastycznie mieszkańcom rychły przyjazd cesarza.

Lecz Napoleon blisko trzy tygodnie zatrzymał się w Poznaniu, kierując ztamtąd działaniami wojennemi. Teraz obchodził uroczyście drugą rocznicę koronacyi a później zwycięstwa pod Austerlitz (dnia 2 grudnia); tam również pod datą 12-go grudnia elektorowi saskiemu, który niezadługo miał zostać księciem warszawskim, przyznał tytuł królewski.

A w Warszawie przez ten czas czyniono przygotowania w celu uroczystego przyjęcia, jak pisała ówczesna „Gazeta Warszawska“ bohatera wieku. Wybicki, (twórca pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła“), który razem z wojskiem francuskiem powrócił do ojczyzny, ułożył program przyjęcia Napoleona.

Kiedy Murat (szwagier Napoleona) wielkorządca Warszawy, na dekrecie z dnia 5-go grudnia podpisując się „Joachim z Bożej łaski Namiestnik cesarza“ oznajmił, że przyjazd Napoleona nastąpi w dniu 19-ym grudnia tłumy Warszawian od wczesnego ranka wyległy na ulice.

Było to już spóźnione. Cesarz wszystkie uroczystości powitalne udaremnił, zdecydowawszy się w ostatniej chwili na przyjazd *incognito*. Z ostatniego noclegu, nie uprzedzając dworu, tylko kilku poufalszych ze świty, konno w nocy z dnia 18 na 19 grudnia przybył do stolicy i wprost na zamek zajechał, rozkazując, aby przyjazd jego jak najdłużej w tajemnicy został utrzymany.

Przespawszy się, załatwiał nazajutrz aż do godz. 4 po południu różne interesy. Oczywiście, iż Warszawa musiała się w końcu o mistyfikacyi

dowiedzieć. Tłumy ludu zaległy plac przed zamkiem.

Dzień grudniowy miał się ku schyłkowi, gdy z bramy zamkowej wyjechał konno w zwykłym swym uniformie Napoleon w otoczeniu dygnitarzy wojskowych. Na ten widok zabrzmiały okrzyki: *Vive l'empereur!* (Niech żyje cesarz!) Lud warszawski szybko się nauczył tych dwóch wyrazów francuskich.

Napoleon obojętnie przyjmował okrzyki powitalne i udał się nad Wisłę do miejsca, w którem stał most (Wisła wówczas jeszcze nie zamarzła). Tam oglądał brzegi i słuchał raportów.

O zmroku już powrócił do zamku, aby spożyć obiad, a punktualnie o 7 przyjmował w wielkiej sali, zwanej tronową, władze miejskie i obywateli. Żyjący i obecni w Warszawie posłowie sejmu konstytucyjnego z r. 1791 z marszałkiem Małachowskim na czele pierwsi się zbliżyli do wyrażenia hołdu.

Zdawało się, iż teraz była najwłaściwsza sposobność spełnić obietnicę daną w Poznaniu. Najpracowitsza i najistotniejsza reprezentacya narodu polskiego stała przed zwycięzcą z pod Jeny, oczekując na słowa zachęty do wskrzeszenia ojczyzny.

Ale Napoleon, lubo doskonale wiedział, kogo ma przed sobą, udał, że widzi w przedstawiających się, luźną gromadkę panów polskich, którą zbył kilku słowami zdawkowej grzeczności.

Podobnego przyjęcia doznały i inne grupy. Sprawa Polski i urządzenie tej części kraju, którą Francuzi już zajęli, była dla Napoleona przedmiotem tak małej wagi, że się o nią wcale nie zapytał podczas pięciodniowej bytności w Warszawie, łamiąc przyrzeczenie, dobrowolnie uczynione w Poznaniu.

Wybickiego, największego entuzyastę i wielbiciela Napoleona codziennie zapytywano:

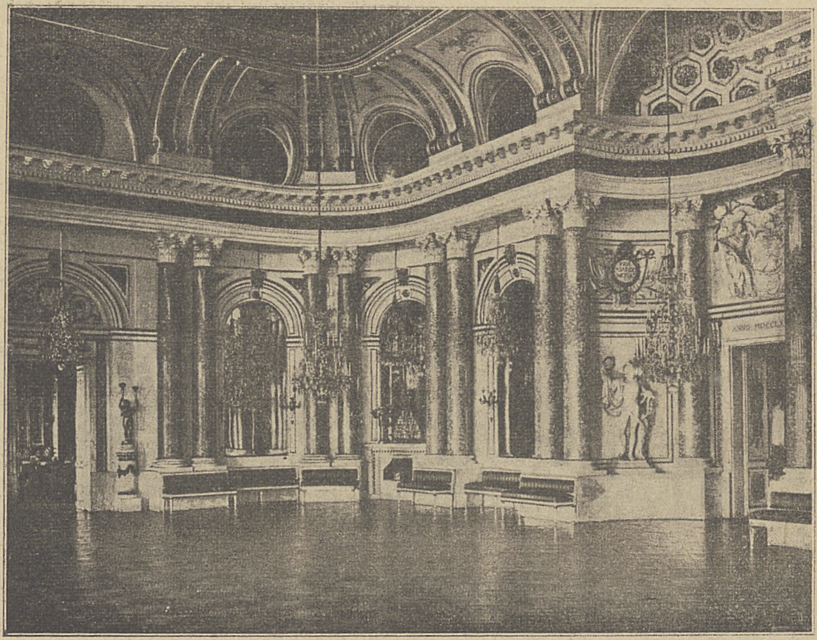
— Kiedyż nareszcie dotrzymane będzie przyrzeczenie ogłoszenia Polski?

— Bądźcie pewni, że to lada dzień nastąpi — odpowiadał stanowczo Wybicki.

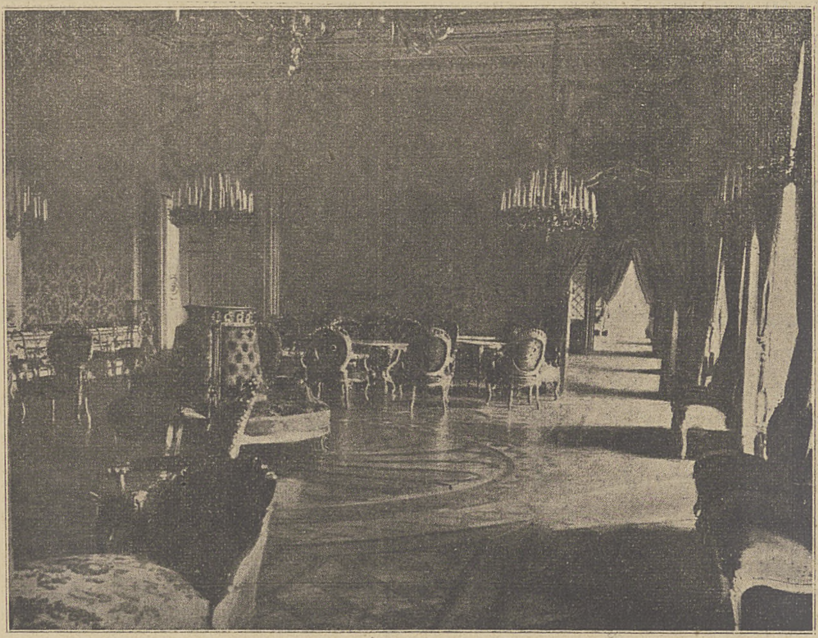
Tymczasem w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia, Napoleon, jak cichaczem przyjechał, tak również bez uprzedniej zapowiedzi, opuścił zamek i Warszawę. Udał się do wojska kierować dalszemi działaniami wojennemi, nie zostawiając Polakom ani jednego wyrazu pociechy w upominku...

Późniejszy „upominek“ w postaci Księstwa Warszawskiego i unikanie nazwy Polski rozczarowało tysiące entuzyastów w rodzaju Wybickiego.

Kto wie, czy podczas drugiej, jeszcze krótszej bytności w Warszawie (w hotelu Angielskim) po Moskwie i Berezynie, nie przeszło przez głowę Napoleona, że jednak lepiejby było słowo dane w Poznaniu dotrzymać...



Sala kolumnowa w zamku warszawskim.



Sala amarantowa w zamku warszawskim.

Wątpiącym.

O nie mówcie, o nie wierzcie,
Że Ojczyzna w grobie!
My ją żywą, my ją całą,
Ducha Polski, Polski ciało
Mamy, bracia, w sobie.

O nie mówcie, o nie wierzcie,
Że Polska zabita!
Ona dyszy, ona rośnie
W każdej borów naszej sośnie,
W każdem ziarnie żyta.

Ona złoci się na łanie
W każdym pszennym kłosie,
Kwitnie w kwiatach naszych błoni
W jasnym sierpie łąką dzwoni,
Błyska w jasnej rosie.

W tym Piastowym żyje pługu,
Co nam ugor orzę,
W modłach żyje tego ludu,
Co czekając z nieba cudu,
Woła: „Święty Boże!“

W tej fujarce rozśpiewanej
W wieczorową ciszę;
W stuletniego skazce dziada,
W pieśni, którą matka składa,
Gdy dziecię kołysze.

O nie mówcie, o nie wierzcie,
Że Ojczyzna w grobie!
My ją żywą, my ją całą
Polski ducha, Polski ciało,
Mamy, bracia, w sobie!
Marya Konopnicka.

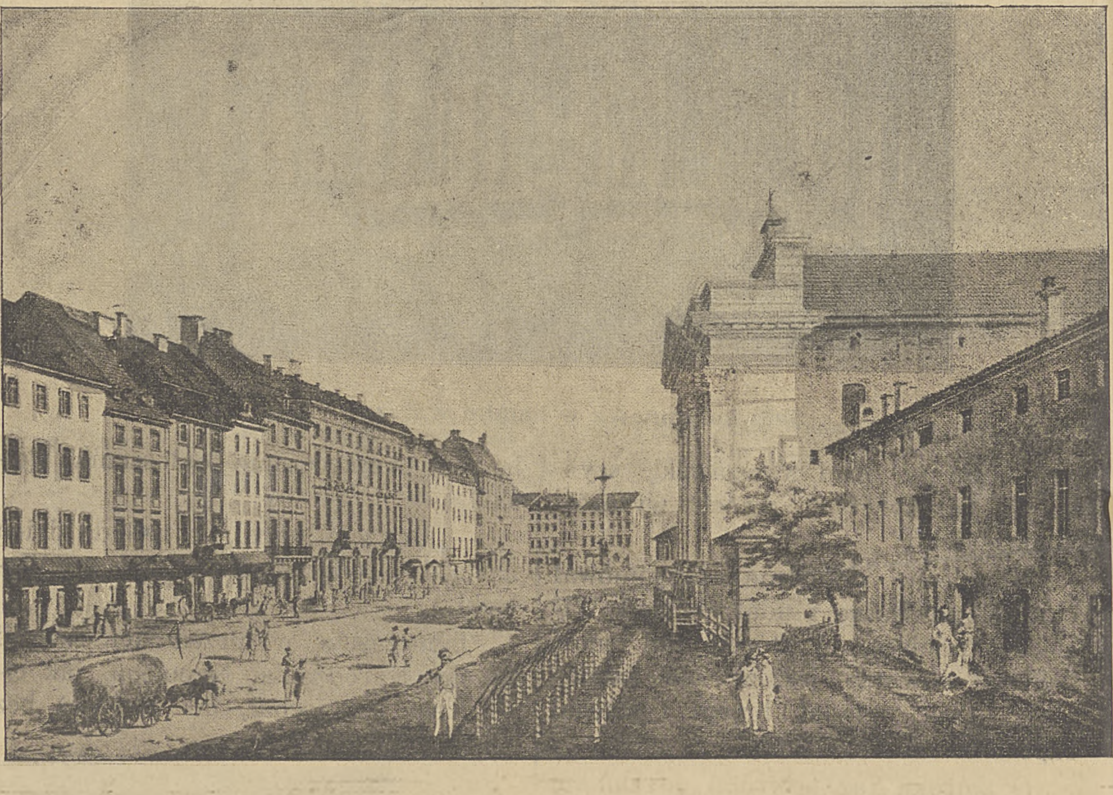
Jak się tworzy „Pracę.“

Chociaż nie ma tygodnia, aby ktoś z Przyjaciół i Czytelników „Pracy“ nie odwiedził naszego zakładu drukarskiego, który z miłą chęcią wita każdego gościa, to jednak nieliczne tylko grono wyobrazić sobie może, ile potrzeba pracy, mozołu i zachodu, jak wielkiego potrzeba nakładu duchowego i pieniężnego, aby „Pracę“ napisać, ustawić, wydrukować i posłać do rąk Czytelników.

Nasi redaktorowie wraz z całym sztabem współpracowników i korespondentów z Królestwa, Galicyi i obczyzny posełają codziennie rękopisy do drukarni, czytają korekty, naradzają się nad wyborem ilustracyi, a gdy przyjdzie czwartek uginają się pod nawałem rewizyi, albowiem w czwartek każdego tygodnia należy w kilka zaledwie godzin przeczytać raz jeszcze 30 do 40 stronnic „Pracy,“ ażeby z nich usunąć znajdujące się błędy i usterki. A przy tem wszystkiem należy zachować umysł spokojny, aby się nie dostać lekkomyślnie za zaproszeniem pruskiego prokuratora za kratki sądowe. Mimo powściągliwości i ostrożności naszych redaktorów ma „Praca“ w ostatnim czasie ni mniej ni więcej jak „tylko 7“ procesów.

Rękopisy otrzymuje z redakcyi kierownik drukarni, znany jako dzielny i energiczny fachowiec p. Józef Kokornaczyk. Rozdaje on rękopisy towarzyszom drukarskim stawiającym bądź to ręką poszczególne zgłoski, bądź też na klawiszowych maszynach tak zwanych linotypach, które wzbudzają podziw każdego niefachowego widza. I słusznie. Towarzysz drukarski czytając rękopis przebiera palcami po klawiszach zgłoskowych, czcionki same spadają z magazynu i ustawiają się w rządek, dzwonek daje znać, gdy rządek pełen, a za naciskiem hebla usuwa się rządek, by zrobić miejsce nowemu. Rządek usunięty wytłacza obraz litery na gorącym ołowiu, roztopionym na ogniu gazowym i po chwili wypada z odnośnej formy cały wiersz odlany, podczas gdy zgłoski porwane „chwytaczem“ w górę w miarę posunięcia na swe miejsce, wpadają znowu same do swego magazynu. Maszyny „linotype“ poruszane są siłą elektryczną i pracują bezustannie codziennie od rana godziny 6-ej do godziny 10-ej wieczorem; towarzysze pracują na dwie „szychty“ dziennie trwające po cztery godziny; dłużej ani umysł ludzki, ani ciało bez uszczerbku dla zdrowia pracować niezdolne.

Gdy już wszystkie rękopisy poustawiane na ołowiu i korekty pokończone, wówczas tworzy się łamy, z poszczególnych łamów kolumny czyli stronnice, przyczem redaktorzy dysponują porządek w jakim artykuły po sobie następują.



Warszawa przed stu laty. Krakowskie Przedmieście. Z obrazu Zygmunta Vogla.

Podczas gdy dział ilustrowany, którego układ wykonuje obecnie redaktor p. Bolesław Rakowski, idzie w pierwotnym ołowiu wraz z kliszami czyli cynkowymi odbitkami obrazków pod prasę drukarską, to dział polityczny redaktora naczelnego p. Idziego Świtały musi być jeszcze w kolumnach stereotypowany czyli odbity na okrągłych płytach ołowianych, które przyśrubowuje się potem na dwóch cylindrach maszyny rotacyjnej. Dział ilustrowany drukuje się na dwóch maszynach, z których każda drukuje po 8 stron i to przez 10—11 godzin. Maszyny te pędzone siłą elektryczną muszą często stawać dla zmywania kliszy i prostowania arkuszy, które odnośny aparat sam „falcuje“ czyli składa, skoro cały arkusz mający 16 stron po dwóch stronach już jest wydrukowany. Dział polityczny drukowany na maszynie rotacyjnej zwykle w piątek przed południem, jest gotów w dwóch godzinach, albowiem kolosalna ta maszyna z łatwością wykonuje na godzinę 6000 egzemplarzy druku. Drukarnia nasza posiada oprócz maszyny rotacyjnej wartości przeszło 30,000 marek, jeszcze cztery maszyny pospieszne, z tych dwie wielkie, dwie mniejsze i dwie maszynki do robót małego formatu, a wszystko to pędzone siłą elektryczną, za którą płacimy około 100 mrk. miesięcznie. Obaj maszyniści nasi ostatni to dziwnem zbiegiem okoliczności — Górnoślązacy, którzy przybywszy do nas zaledwie kilka słów umieli po polsku, a dziś już stali się „wielkopolskimi agitatorami.“ Niestety jeden przed trzema tygodniami skaleczył sobie palce u prawej ręki i leży w lazarecie, drugi „wrócił“ do ojczyzny i to też jest powodem, że nie mogąc od razu znaleść zdolnych ludzi, nie mogliśmy ostatnich numerów „Pracy“ tak czysto wykonać jak Czytelnicy żądać mają tego prawo. Wyjaśniwszy powód sądzimy, iż Czytelnik nie weźmie nam usterek tych za złe i nie opuści nas w chwili, gdy tak groźne nad nami zbierają się chmury.

Prócz kilkunastu towarzyszy drukarskich mamy także kilku uczni tak w składni (zecerni) jako i u maszyn, a płeć piękną reprezentują w pierwszej linii panie i panny nakładaczki, których jest stale pięć, a często sześć i więcej. Niełatwa jest praca takiej nakładaczki, która nieraz od rana do wieczora stać musi na maszynie i spiesznie arkusz za arkuszem przesuwać i nakładać; podczas gdy towarzysz drukarski zarabia od 110 do 150 mk. miesięcznie, przyczem naturalnie pracuje i mózgiem i ciałem to nakładaczka pra-

cująca jedynie mechanicznie zarabia 50—60 mrk. miesięcznie. W sobotę przed południem przychodzi do ekspedycyi kilkanaście roznosicielek, które przy pomocy dzieci swych obojej płci roznoszą „Pracę“ po Poznaniu i przedmieściach.

Poprzednio atoli musi „Praca“ przejść jeszcze naszą introligatornią; tam nakładaczki, kobiety i dziewczęta składają arkusze, dołączają obrazek albumowy, układają całość w okładkę, równają, szyją drutem i podawają maszyniście, który zeszyty obcina z trzech stron na specyalnej maszynie.

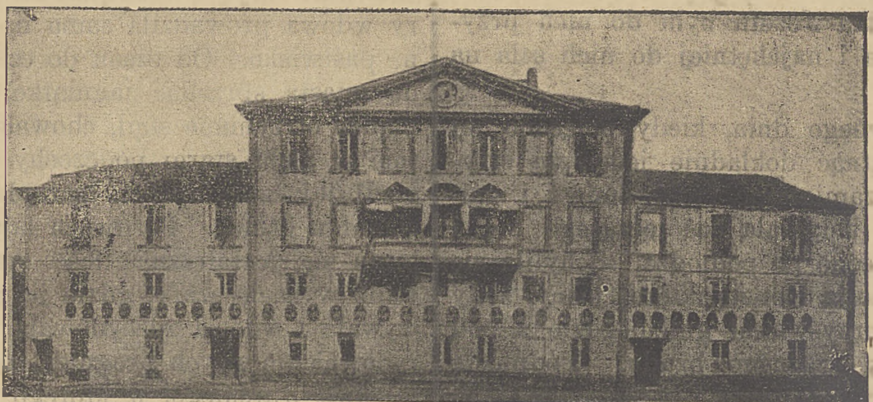


Kośció Zbawiciela w Warszawie.

Skoro już „Praca“ gotowa odwozi ją się wózkiem na pocztę; pierwsze egzemplarze posełamy poczcie w piątek przed południem, ostatnie w sobotę rano, tak aby każdy abonent miał „Pracę“ na niedzielę w domu. Zdarza się czasem, iż policya z rozkazu prokuratoryi skonfiskuje całą „Pracę“ lub odnośny arkusz; wówczas a dzieje się to zwykle w piątek po południu, trzeba część skonfiskowaną na nowo przeistaczać i drukować, co niemało zabiera czasu i powoduje kolosalne straty.

Działem ogłoszeń, kasą i książkowością zawiaduje p. Wincenty Szmytkowski, który już od samego początku istnienia „Pracy“ piastuje ten urząd z wrodzoną mu sumiennością i zapobiegliwością. Nawet i p. Szmytkowski zapoznał się już z kratkami sądowymi, kiedy pewnego razu urzędnika policyi, który nie legitymując się zbyt pohopnie zabierał się do „rewizyi“ w energiczny sposób „wyekspedyował“ z lokalu. Widzimy ztąd, że p. Szmytkowski nie tylko ekspedyuje „Pracę,“ druki i rachunki, ale także i nieproszonych gości. Przy nim pracują dwie nadobne książkowe, z których panna T. zwykle kieruje rozsłannictwem „Pracy“ na Poznań, oraz działem agitacyjnym wysełając paczki na wiece, zebrania i t. p. panna B. zaś trzaska listy na maszynie do pisania, aż miło takiej korespondentki słuchać.

Zakład nasz wydawniczy zatrudnia ogółem przeszło 40 ludzi obojej płci, których nie wszystkich mogliśmy fotografować, albowiem niektórym roznosicielkom mężowie nie pozwolili się fotografować, co nas mocno zdziwiło, gdyż żadna praca człowieka nie hańbi.



Biblioteka Załuskich w Warszawie.

Na papier wydajemy rocznie na „Pracę“ 25—30,000 marek, taką samą sumę wypłacamy personałowi drukarskiemu nie licząc w to kosztów redakcyi. Szanowny Czytelnik pozna stąd, że „Praca“ jest jednym z największych zakładów drukarskich polskich w zaborze pruskim, i że dając utrzymanie i pracę kilkudziesięciu rodzinom polskim w Poznaniu już przez to samo zasługuje na życzliwość i poparcie społeczeństwa.

Właściciele „Pracy“ widząc zwiększające się z dniem każdym koło przyjaciół i czytelników naszych nie szczędzą też ofiar i mienia, byle tylko wydawnictwo podtrzymać. Podczas gdy poszczególny numer „Pracy“ kosztował nas 16 fenigów, my dawaliśmy go dotąd Czytelnikom niespełna po 10 fenigów, bo dawaliśmy 13 numerów w kwartale za M. 1,25. Nie wątpimy też, że Czytelnik „Pracy zapoznawszy się teraz bliżej z naszym wydawnictwem nie poskąpi półzłotka na kwartał i chętnie zapisze sobie na nowy kwartał „Pracę,“ z którą się zżył, którą tak dorośli jak i nasze dziatki pokochały jako wiernego przyjaciela i miłego towarzysza. A przecież „Praca“ nietylko jest dla nas rozrywką i towarzyszką chwil swobodnych i spoczynku; ona jest na wskroś polską i gorąco patryotyczną, a przytem pouczającą i ducha wzmacniającą i dla tego też może liczyć na wierność swych przyjaciół i zwolenników. My też wierzymy silnie, że życzliwość ludzka nie jest pustym frazesem i z ufnością też składamy losy „Pracy“ z Nowym Rokiem w ręce Czytelników.

Rz.

Złoto.

Matka Józefa, przezywana zwykle „wdową,“ mieszkała w Jawornie, w małej wiosce na Polesiu. Jej mąż drwal, umarł przygnieciony bukiem, nie zdążywszy na czas umknąć przed nieobliczalnym upadkiem drzewa. Zostawił wdowę, bez dzieci, na szczęście, ale też i bez grosza.

W biednej wiosce, ukrytej w lasach, zwyczaje pozostały patryarchalne; wszyscy tworzyli tam niemal jednę rodzinę.

Każdy według możności przyczy-

nił się do poratowania biednej wdowy. Umieszczono ją w chacie na kraju lasu, i dostarczono jej roboty. W zimie ogrzewała się suchemi gałązkami, zbieranemi w poblizkim lesie; w lecie zbierała poziomki, maliny lub grzyby, które sprzedawała w poblizkiem miasteczku.

Najpewniejszym i najstalszym jej dochodem było kilka gospodarstw wiejskich, gdzie spełniała grubsze domowe posługi, jak pranie, porządkowanie stajni i strychu. Przy zajęciu tem zarabiała złotówkę dziennie. W kraju, gdzie pieniądz był rzadkością, gdzie produkta wymieniali w naturze i gdzie potrzeby są ograniczone, ta złotówka przedstawiała dostateczne wynagrodzenie. Jaworzna zaludniona była duszami prostemi, a matka Józefa zaliczała się do najprostszych, do najpierwotniejszych.

Potulna, ograniczona i uparta, miała lat czterdzieści i ufność dziecięcą. Zawsze w ruchu, z długim stanem na krótkich nogach, przezywano ją czasem pchłą, z powodu dziwnej ruchliwości. Oczy miała niebieskie, okrągłe, wilgotne, i twarz dziwnie spłaszczoną, wklęsłą niemal, z dziwnie wystającą naprzód brodą.

W liczbie ludzi dobroczynnych, którzy najczęściej używali wdowy, znajdował się Jurski, właściciel folwarku niewielkiego, sąsiadującego z wioską.

Rodzina Jurskich, dostatnio i poczciwie żyła wraz z dziećmi i domownikami; sami bardzo pracowici, oceniali pracowitość wdowy, która nie wzdragała się przed najcięższą nawet robota. Traktowali ją po ludzku, sadzali do wspólnego stołu, i często dawali jej coś z jarzyn lub kawałek mięsa, do zabrania do domu, gdy odchodziła. To też matka Józefa była do nich przywiązana i najchętniej do nich szła na robotę.

Pewnego dnia, kiedy polecono jej wyprzątnąć dokładnie jeden ze strychów, zamiatając stosy śmieci i gałganów, usłyszała coś toczącego się i brzęczącego po podłodze. Schyliła się i podniosła monetę, której jasny, żółty metal przyświecał gnieniegdzie z pod skorupy czarnego brudu. Podniosła pieniądz, obejrzała i w prostocie ducha sądziła, że znalazła stary grosz. Chwilę miała ochotę schować znaleziony pieniądz, ale zbyt była uczciwą, pomyślała więc, że nie ma prawa przywłaszczać go sobie i spotkawszy na schodach jedno z dzieci Jurskiego, dała chłopakowi monetę.

Chłopiec, szczęśliwy ze zdobyczy, uniósł swój „grosz" na podwórze i część dnia użył na wycieranie go o ubranie, aby mu przywrócić połysk. Ta pracowita operacya wydała nieoczekiwane owoce. Stary pieniądz coraz bardziej nabierał blasku, profil twarzy męskiej występował coraz wyraźniej. Chłopak, uszczęśliwiony powodzeniem, tryumfalnie pokazał ojcu i matce swój żółty „grosz", znaleziony przez wdowę. Otworzyli szeroko oczy ze zdziwienia. Nie widzieli nigdy w życiu monety tak połyskującej i o tak czystym dzwięku. Obejrzawszy ją dokładnie, zważywszy na ręku, Jurski przeczuwając miłe zdziwienie, udał się do wójta po radę. Ten upuścił parę razy monetę na żelazną płytę kuchni, zważył ją na małej mosiężnej wadze i ostatecznie orzekł, że była to stara sztuka dziesięciorublowa.

Jurski omal nie zemdlał z radości. W tym zapadłym zakątku w owym czasie wiedziano tylko z tradycyi, co to jest złota moneta. Przez cały dzień następny cała wieś zbiegła się, aby podziwiać złoto, a właściciele spoglądali z pod oka, strzegąc skarbu. O niczem nie mówiono, jak o szczęściu Jurskich. Niektórzy mówili nawet, że wdowa była niemądra, nie schowawszy monety do kieszeni. Ona sama może doznawała jakiegoś żalu, ale ani słowem o tem nie wspomniała i tylko wzdychała ciężko.

Jednak rodzina uznawała, że należy się nagroda matce Józefie za jej uczciwość. Po długiej naradzie, zdecydowali dać jej w podarunku owcę, którą wdowa zabrała szczęśliwa i zadowolona do swojej chaty na brzegu lasu. Owca ta stała się przedmiotem jej nieustannych zabiegów. Otaczała ją staraniami, pieściła jak własne dziecię, pasąc wzdłuż drogi, na obfitej trawie. Owca miała jagnię, równie czule chowane. Był to zaczątek stada, który wdowa prowadziła sama na wspólne pastwisko. Od czasu do czasu szła do miasta sprzedać jagniątko, a pieniądze otrzymane stąd, chowała skrzętnie w głębi starej pończochy. Przyszedł jej teraz apetyt, marzyła o posiadaniu krowy. Po dwóch latach, zebrała się dostateczna ilość srebrnych sztuk w kącie szafy, gdzie je przechowywała i wdowa zdecydowała się na zadowolenie swych pragnień, udała się do ojca Jurskiego, u którego dostała po umiarkowanej cenie czerwoną krówkę, dobrze zbudowaną i zdrową, którą umieściła w szopie, przylegającej do swojej chaty.

Od tej chwili krowa, którą dla koloru nazwała wiśniochą, była jej jedyną rozrywką. Wstawała równo z dniem, aby jej przygotować pożywienie. W czasie lata utrzymanie jej nie było dość kosztowne. Mimo nadzoru straży leśnych, potrafiła zawsze uzbierać dobrą porcyę nowych pędów roślin. Wieczór, po powrocie z roboty prowadziła ją na gminne pastwisko. W zimie zaopatrywała się w niezbędne pożywienie, plewy i buraki.

Podczas długich wieczorów letnich, podczas gdy wiśniocha pasła się spokojnie i poruszała trawy, wdowa, wyciągnięta jak długa wśród chwastów i macierzanek, patrzała na gwiazdy, połyskujące nad lasem i wpatrując się w nie zawsze z równym zachwytem, zawsze nowym, snuła znowu inne marzenie, które od niejakiego czasu kiełkowało w jej głowie.

Przypomniała sobie złotą monetę, która tyle narobiła hałasu w całej wiosce i która była podstawą jej majątku, i dręczyła ją myśl uparta, żeby i ona też posiąść mogła złoto. Mówiła sobie, że chociaż przykroby jej było rozłączyć się z wiśniochą, za jaki rok mogłaby ją sprzedać. W tym czasie krowa mogła mieć wartość trzydziestu rubli, na pierwsze słowo, i w marzeniu słyszała już trzy żółte monety brzęczące w jej kieszeni.

W rok później krowa doskonale wyglądała. Właśnie nadchodził jarmark w okolicznem miasteczku. Postanowiła sprzedać wiśniochę.

Oznaczonego dnia wstała świtaniem, starannie oczyściła krowę i udała się z nią do miasta. Około dziewiątej przybyła na targ i z bydlęciem stanęła w szeregu innych, czekających na amatora.

Za chwilę zaczął ją obchodzić do koła wielki drab, chudy jak tyka i opalony jak cygan, który nareszcie zaczął rozmowę:

— Ładna krowa! — zagadnął, spoglądając okiem znawcy.

— Tak — odpowiedziała wdowa, dygając — ładna i dobra, co dnia daje konewkę mleka.

— Jest do sprzedania? — zagadnął drab, pomacawszy krowę po nozdrzach, bokach i nogach.

— Tak, ale nie sprzedam jej, tylko temu, co mi za nią zapłaci złotem.

— Ha, ha!... — powiedział kupiec —tak lubicie pieniądze. Czy tak dużo przeszło wam już ich przez ręce?

— Gdzie tam... raz jeden tylko widziałam z blizka dziesięć rubli.

I z zaufaniem gadatliwem naiwnej duszy, opowiedziała całą historyę znalezienia monety na strychu, i podziw całej wioski...

— To też przyrzekłam sobie, nie sprzedawać mojej krowy inaczej, jak tylko za brzęczące żółte monety.

— To się rozumie — odparł nabywca — ileż chcielibyście za nią?

— Czterdzieści rubli.

— To dużo... jak się chce mieć ca-



Józef Brandt. **Wyjazd na polowanie.**

łą zapłatę w złocie. Niech będzie trzydzieści, a zapłacę złotem koronnem.

Zachęcona wdowa, ugodziła się nareszcie na trzydzieści rubli.

— Czekajcie chwilę — powiedział kupiec — zaraz wam przyniosę całą sumę.

Wrócił za chwilę, dając do ręki matce Józefie, trzy sztuki zupełnie nowe, lśniące, tak wielkie, jak ta, którą znalazła na strychu.

— Oto trzy monety po dziesięć rubli każda. Czyście zadowoleni?

Matka Józefa wpakowała je na dno kieszeni, potem rozstając się z wiśniochą, pocałowała ją czule w nozdrza różowe, zwracając się z licznemi prośbami do nowonabywcy.

— Nadewszystko, chodźcie dobrze koło niej! — mówiła ze łzami w głosie.

— Nie bójcie się będzie w dobrych rękach!

Rozstali się, i wdowa szybkim krokiem wróciła do wsi. Idąc ścieżkami, szukała ciągle na dnie kieszeni i dotykała pieniądze palcami z rozkoszą. Ledwo wróciła do wsi, pobiegła do Jurskiego i z tryumfem zawołała:

— Sprzedałam wiśniochę. Zapłacono mi za nią złotem... Patrzcie...

Podała mu trzy sztuki, połyskujące w słońcu.

Jurski oglądał je na obie strony, podrzucił do góry:

— To, — to, pieniądze? — powiedział, wzruszając ramionami, okradziono was, jak w lesie, moja biedna kobieto.

— Nie może być!... zawołała wdowa.

— Do licha, to są trzy nowe kopiejki... Patrzcie, jest przecież napisane. Ten, kto cię tak wyprowadził w pole, jest ostatnim złodziejem. Kupił krowę za sześć groszy.

Ale matka Józefa nie odpowiedziała... Zemdlała, upadła, z wielkim trudem zdołano ją ocucić.

Cios był za silny; nie przyszła już nigdy do siebie. Kwękała już tylko; sił nie miała, i całe dni siedziała na progu chaty, jak ogłupiała.

W miesiąc potem umarła.

Od tego czasu mieszkańcy Jaworzna są bardzo niedowierzający i monet złotych nie chcą przyjmować.

A. T.

Język niebieski.

Język niebieski... Trochę to dziwny kolor jak na najinteligentniejszy instrument ciała ludzkiego, można by powiedzieć trawestując zdanie Kalchasa z „Pięknej Heleny“ o wielkim augurze. Kolor czerwony i odpowiadałby tradycyi i budziłby przyjemne wrażenie dobrego trawienia i byłby równocześnie po modnemu radykalny. Ale niema co dyskutować dłużej, skoro tak sobie życzył jego wynalazca, p. Leon Bollak, „język niebieski“ pozostanie niebieskim, aż do... zdetronizowania go przez inny jakiś międzynarodowy preparat językowy.

Bo chodzi tu o jeden z tych sztucznych środków porozumienia się wszechświatowego w guście niefortunnego „Volapücku“ lub tak popularnego dziś „Esperanta“.

Usiłowanie bowiem stworzenia języka międzynarodowego podjęło równocześnie wielu ludzi, a zdaje się, że powodzenie dr. Zamenhofa z „Esperantem“, podnieciło jeszcze bardziej współzawodnictwo, i dziś już w arsenale naukowym ludzkości znajduje się cały szereg, albo wyszłych z użycia, albo dobijających się wziętości tego rodzaju „dział“ pokojowych jak *Volapük, Pasilingua, Spelin, Esperanto, Idiome neutral, Pan-Romanie lub Universal i... język niebieski czyli Bolack.*

„Esperanto“, jak każda rzecz ludzka, nie jest i nie może być doskonałością i z tych jego braków urośli jego konkurenci, zwłaszcza „Universal“ dr. Molenaara i „Język niebieski p. Leona Bolacka.

Pierwszy z nich poszedł tą samą drogą, co dr. Zamenhof, to znaczy stworzył język sztuczny przedewszystkiem z elementów i słów wspólnych w rozmaitych językach cywilizowanych, upraszczając pisownię i gramatykę do możliwych granic. Dr. Molenaar twierdzi tylko, że jego język jest zrozumialszy dla każdego wykształconego człowieka i zwięźlejszy niż Esperanto. Co do pana Bollacka, ten poszedł zupełnie inną drogą. Jak twierdzi, sięgnął do zasad elementarnych, tworzenia się języków i skomponował nie kompilacyę z już istniejących, ale język zupełnie nowy, a tak uproszczony, że np. używa tylko 19 liter z alfabetu i że posługuje się przedewszystkiem wyrazami jednozgłoskowemi.

Owóż na temat wyższości jednego z trzech wymienionych sztucznych języków, rozwinęła się teraz ożywiona polemika w prasie zagranicznej, a naszej publiczności wystarczy dać zestawione ze sobą próbki „Esperanta", „Universala" i „Języka niebieskiego", aby umożliwić zoryentowanie się, o co w tem chodzi.

A więc najpierw cytata z „Esperanta" o twórcy tego języka: „Twórcą języka Esperanto jest doktór Zamenhof, który obecnie jest lekarzem w Warszawie." Zdanie to, przełożone na język „esperancki", brzmi jak następuje:

„La kreinto de la lingvo Esperanto estas Doktora Zamenhof kiu nun estas kuracisto en Varsovio".

A teraz to samo zdanie w języku „Universal" czyli „Panromanie".

„Kreator de ling Esperanto es doktor Zamenhof qui nunk es medik in Varsovi".

Treść przytoczonego zdania w obu językach tak jest łatwą do zrozumienia, że nawet możnaby się obejść bez jego tłumaczenia. Z kolei więc zestawimy cytatę z Voltaira o szkodliwej różnorodności języków, przetłumaczoną na „Universal" i na „Język niebieski".

Po „uniwersalsku" brzmi to:

„Un de los plus grand flagelli de nostr vit es diversitat de lingi".

A w „języku niebieskim" to samo opiewa:

„An ade kligru iklaused ad lif seri samo ade lanku".

Bardzo to brzmi pięknie i „niebiesko", ale można się założyć, że żaden z czytelników ani słowa nie zrozumie...

Staropolskie roraty.

Od Bolesława, Łokietka, Leszka,
Gdy jeszcze w Polsce Duch Pański mieszka,
Stał na ołtarzu przed Mszą roraty
Siedmioramienny lichtarz bogaty.
A stany państwa szły do ołtarza,
I każdy jedną świecę rozżarza:
Król — który berłem potężnem włada,
Prymas — najpierwsza senatu rada,
Senator — świecki opiekun prawa,
Szlachcic — co królów Polsce nadawa,
Żołnierz — co broni swoich współbraci,
Kupiec—co handlem ziomków bogaci,
Chłopek — co z pola, ze krwi i roli
Dla resztek braci chleb ich mozoli.
Każdy na świeczkę grosz swój przyłoży,
I każdy gotów iść na sąd Boży.

. . . .

Tak siedem stanów z ziemicy całej,
Siedmiu płomieńmi jasno gorzały,
I siedem modlitw treści odmiennej
Wyrażał lichtarz siedmioramienny.

Władysław Syrokomla.



W pogoni za światłem.

Początek stulecia naszego jest świadkiem oryginalnego widowiska, jakie przedstawia ciągła pogoń za ulepszeniem systemów oświetlenia. Na żadnem polu techniki nie widać tak ożywionego ruchu jak tutaj i zarazem tak olbrzymich postępów.

Bez najmniejszej przesady powiedzieć można, że przez całe lat tysiące istnienia ludzkości, nie uczyniono dla sprawy oświetlenia tyle, co w ciągu tych paru dziesiątków lat drugiej połowy dziewiętnastego stulecia.

W ciągu iluż to wieków nieznano innego źródła światła sztucznego nad słaby promień łuczywa, zarówno w dworze królewskim, jak w lepiance niewolnika! Przecież i dziś jeszcze w niejednym zapadłym kącie kraju naszego, wieśniak powrósła kręci, a wieśniaczka len przędzie przy słabem, dymiącego łuczywa świetle.

W czasach przedhistorycznych już ukazuje się lampa olejna, oświetlająca mieszkania zamożnych Greków i Rzymian. Dopiero zaś w czwartem stuleciu ery naszej wpadł ktoś na pomysł zastosowania wosku do oświetlenia.

Odtąd sprawa oświetlenia stoi nieruchomo przez lat ośmset, aż ukazuje się świeca łojowa, która jeszcze dziadom naszym dawała się swym kopciem i potrzebą ciągłego obcinania knota, dobrze we znaki.

Dopiero gdy wielki chemik Chevreul poznał przyrodę kwasów tłuszczowych, skończyło się panowanie łoju. Około r. 1830 Milly w Paryżu stworzył pierwszą świecę stearynową, i od tej chwili wyrób fabryczny świec tych uczynił takie postępy, że wyparł we wszystkich krajach cywilizowanych, niemal zupełnie świece łojowe.

Zaznaczyć wszakże należy, że właściwa kwestya oświetlenia sztucznego powstała nieco wcześniej. Koniec XVIII stulecia przynosi dwa ważne na tem polu wynalazki. Jeden z nich — to wielki wynalazek gazu oświetlającego. W r. 1812 ukazał się ten gaz po raz pierwszy, jako środek oświetlający na ulicach Londynu, a wkrótce potem w wielu miastach powstały zakłady gazowe. Drugi, mniejszy wynalazek, to — cylinder szklany. Jeszcze Leonardo da Vinci wypowiedział zdanie, że cylinder szklany, umieszczony nad płomieniem lampy olejnej, prawdopobnie by go wzmocnił. Przypuszczał jednak, że szkło nie wytrzyma tego gorąca i trzeba je będzie chłodzić wodą. Lecz fizyk Armand w r. 1786 wykazał doświadczalnie, że cylinder szklany bardzo dobrze temperaturę płomienia lampy wytrzymuje. A że płomień lampy olejnej stał się istotnie o wiele jaśniejszym, bo cylinder wytworzył silny przeciąg powietrza, i co zatem idzie, obfitszy dopływ tlenu do płomienia — więc też cylinder szklany znalazł szybko szerokie zastosowanie.

Pomimo to jednak długo jeszcze nieodpowiadało oświetlenie wymaganiom, które dziś dobremu światłu stawiamy. Jak świece łojowe, tak ówczesne lampy olejne, pomimo najrozmaitszych ulepszeń, nie stanowiły prawdziwie praktycznego źródła oświetlenia. Z gazem również nie było lepiej, gdyż nieudatnie wykonane palniki dawały płomień bardzo słaby — i dopiero zastosowanie palników przeciętnych, używanych do dziś dnia, stan ten polepszyło. Działo się to w tym samym czasie co wynalazek świec stearynowych.

Już wówczas znaleźli się tacy, którzy próbowali ulepszyć światło, wprowadzając rozmaite ciała obce. I tak powstało znane światło Drummonda, dalej próba Frankensteina pokrycia płomienia siatką, podobną do obecnych koszulek Auera.

Były to jednk tylko próby, po któ-

rych blisko przez lat czterdzieści, panował zupełny na tem polu zastój.

Nakoniec około r. 1880 ukazało się światło elektryczne łukowe, a wkrótce potem światło żarowe Edisona. I nagle technika oświetlenia zdaje się budzić z długiego uśpienia. Nastąpił okres szybko po sobie następujących wynalazków. Ukazuje się najgroźniejszy dotychczas konkurent światła elektrycznego żarowego — światło Auera; dalej przyszły wielkie ulepszenia w palnikach gazowych, jak np. regenatory Simensa, dające do 2,000 świec światła; obok tych ulepszeń stają lampy żarowe, naftowe i spirytusowe. Wynalazczość jednak na tem polu nie ustaje, coraz żwawiej się porusza. Jako współzawodnik środków oświetlających ukazał się gaz acetylenowy, który jednak nie znalazł szerszego zastosowania.

Czy na tem koniec? Zapewne, że nie, i możemy być pewni, że przed upływem połowy stulecia pojawi się niejeden jeszcze środek oświetlenia.

Walka to jednak próżna, bo wszystkie one, zdaje się, nie zdołają dać rady — elektryczności. Do tej przyszłość należy!





Do kopalni.

Wygodny pokój.

Humoreska.

Panna Stefania była ładnem dziewczęciem, kiedy wychodziła za mąż za literata pana Sulpicyusza Pisarskiego. Ale szczęście trwało nie długo. Po wielu słodkich chwilach, jakie pani Sulpicyuszowa mężowi swemu zgotowała, po obdarzeniu go synem i licznemi naukami moralnemi, zmęczony literat zrobił sobie na dłuższy czas wakacye i udał się w podróż na tamten świat.

Na krótko przed odjazdem zdążył szepnąć swej połowicy:

— Niech cię Bóg ma w swej opiece Stefciu!

Ale ani słowa nie pisnął o tem, z czego ona z dzieckiem żyć ma. Może czynił to z czułości, aby nie zasmucić małżonki i nie rzucać cienia na jej przyszłość.

Nie byłoby to wprawdzie nieszczęściem gdyby powiedział: „w biurku mem leży polisa asekuracyjna na moje życie,“ albo „w sekretnej szufladzie znajdziesz kwit depozytowy,“ ale nic podobnego nie miało miejsca.

Pani Sulpicyuszowa przez pięć dni żyła łzami i westchnieniami, wreszcie głód uczuła i chciała służącą posłać do miasta. Na to trzeba było pieniędzy, a że nie posiadała kasy ogniotrwałej, zaczęła więc szperać po kieszeniach spodni nieboszczyka, które zastępowały jej zawsze kasę ogniotrwałą. Znalazła w nich portmonetkę z trzema markami i pięcioma 10-cio fenygówkami.

Za ten kapitał posiliła się i opłaciła w „Pracy“ następującej treści ogłoszenie!

„Wygodny pokój do wynajęcia dla pojedyńczego mężczyzny lub kobiety z całodziennem utrzymaniem. Oferty „Nadzieja“ uprasza się składać i t. d.

Pierwszym lokatorem, który ów wygodny pokój wynajął, był stetryczały urzędnik, wątrobiarz, który wymaganiami nad miarę i docinkami zatruwał życie pani Sulpicjuszowej.

— Szanowna pani literatowo, czy nie mieszka tu przypadkiem szewc w sąsiedztwie?

— I owszem, panie radco. Chce pan buciki oddać do podzelowania? Marysia zaniesie...

— Broń Boże. Bałem się tylko, czy nie zaszła jaka pomyłka ze skórą. Dzisiejszy befsztyk na tę myśl mnie naprowadził...

Drugi raz rzekł pan radca:

— Szanowna pani literatowa mogłaby na Gwiazdkę coś dla biednych ofiarować...

— Niestety, nie jestem w stanie, panie radco... moje położenie...

— Nie mam tu na myśli grubszych sum pieniężnych, ale mogłaby pani oddać na dobroczynność tę zatłuszczoną serwetę z mego pokoju.

Wreszcie, gdy pan radca oświadczył pani literatowej, że w jego poko-

ju myszy urządzają wyscigi i zaproponował jej założenie totalizatora — nastąpiło zerwanie.

Pani Sulpicjuszowa miała lat 25 i była niczego wdówką, gdy następcą pana radcy stał się młody kandydat sądowy.

Był wysokiego wzrostu, przystojny, o nader miłem spojrzeniu, a wąsy miał... ach, co za wąsy!

Śp. Sulpicjusz w gabinetowym formacie i pluszowych ramkach przez trzy lata spoglądał ze ściany „wygodnego pokoju“ na swą, dziś zasmuconą wdowę.

Po wprowadzeniu się kandydata musiał opuścić ścianę i zjechał do komody między książki do nabożeństwa i paczkę chińskiej herbaty.

Zmieniono serwetę w pokoju pana kandydata, Marysia unikała podejrzenia o spekulacye z szewcem, a pani Sulpicjuszowa, udając się na spoczynek, nieraz rozmyślała, czy to dobrze, żeby prze całe życie nosić miała żałobę.

Gdy następnego dnia wyszedł kandydat z mieszkania, stary, wytarty dywanik zastąpiono większym, który wprawdzie nie grzeszył nowością, ale wyglądał jaskrawiej i mniej plam dźwigał na sobie. Był to pierwszy prezent, jaki pan Sulpicjusz zrobił żonie po ślubie.

Pan kandydat, siedząc na kanapie, rozpierał się na haftowanej poduszce, kupionej za sprzedany handełesowi szfalrok, który dotąd chowano, jak relikwię.

Gdy w miesiąc potem pani Sulpicjuszowa wyszła raz na miasto, spotkała nagle swego kandydata, idącego z jakąś damą pod ręką.

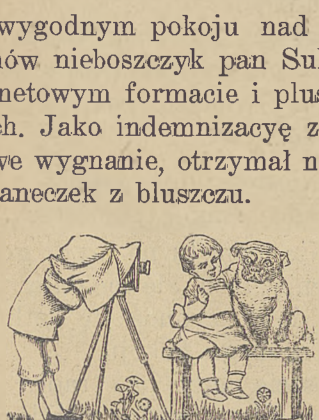
Doznała odrazu takiego uczucia, jakby piorun trzasł w nowokupioną poduszkę.

Spojrzeli na siebie i poznali się.

— Bardzo mi przyjemnie, że panią spotykam! Pozwoli pani, że jej przedstawię moją narzeczoną, pannę Zofię Kikiernicką — moja dobra gospodyni, pani Sulpicjuszowa Pisarska.

. . . .

W wygodnym pokoju nad kanapą wisi znów nieboszczyk pan Sulpicjusz w gabinetowym formacie i pluszowych ramkach. Jako indemnizacyę za chwilowe swe wygnanie, otrzymał nawet ładny wianeczek z bluszczu.



Do dziewic!

Dziewice powinny przedewszystkiem zważyć, co następuje: Nie powinny one znajomości szukać. Dziewczyna, która dąży do zawierania znajomości, daje tem samem dowód, że nie będzie dobrą żoną i gospodynią domu; brak jej najpiękniejszej ozdoby, dziewiczej skromności. Zacnie myślący, chrześciański młodzieniec nie będzie chciał z taką dziewczyną się połączyć. Są wprawdzie i tacy młodzieńcy, którzy się zbliżają do podobnych „kokietek“, ale czynią oni to albo z nieszlachetnych pobudek, albo też z z niewiadomości, co jest dla ich dobra pożytecznem, wskutek czego zawierają zbyt często nieszczęśliwe małżeństwa. Proszę więc, mianowicie dziewczęta, aby nie rozpoczynały żadnych znajomości, jedynie dla zabawy i rozrywki, bez poważnego zamiaru wstąpienia w stan małżeński. Skarb waszej niewinności nosicie w kruchych naczyniach! Już lekkie tchnienie zamąca niewinność, a zmysłowe obcowanie, lekkomyślna znajomość, może łatwo zupełnie ją do upadku doprowadzić. O myślcie o waszem przyszłem życiu, o waszej czci!

Pewnego razu jechałem na promie rzeką, naprzeciwko mnie siedziała dziarska chłopka, która swej sąsiadce głośno o swoich dzieciach opowiadała: „O, o moją córkę“, tak prawiła, „nie mam, Bogu chwała, już kłopotu; jest ona pod dobrą opieką, pod lepszą, jak gdyby była poszła za mąż, ona jest w klasztorze“. Sąsiadka odpowiedziała; „Tak, to macie słuszność! Pod dobrą opieką znajduje się ona w klasztorze, a do tego mamy tamże nowicyat; gdyby jej się tam nie podobało, to może przed końcem nowicyatu z klasztoru znowu wystąpić. W małżeństwie jednakże nie ma niestety nowicyatu; gdy kto raz wstąpił w związek małżeński, to wstąpił na zawsze“. Tak, na zawsze wstępuje się w związek małżeński, na całe życie. Szczęście albo nieszczęście doczesne, a nawet często szczęście albo nieszczęście wieczne zależy od tego, czy wstąpisz w związek małżeński lub nie, a jeśli wstąpisz, zależy od tego, w czyje ręce los twój złożysz! Małżeństwo jest więc bardzo poważną rzeczą, która potrzebuje dokładnej rozwagi. Kto ma zamiar wstąpić w związek małżeński, znajduje się przed najważniejszą decyzyą, którą w ogóle w życiu ma powziąć. Czyż by można w to uwierzyć, gdy się widzi, jak lekkomyślnie po dziś dzień małżeństwa bywają zawierane? Wielokrotnie nie zastanawiają się odnośne osoby nad tem, czy w ogóle od Boga są powołane do małżeństwa i nie myślą o tem, z kim się łączą na zawsze. Na oślep, na chybi trafił bywają małżeństwa zawierane, a ani jedna, ani druga strona nie troszczy się o to, w czyje ręce całe swe życie składa. A wreszcie jakże to wielu zabiera się do stanu małżeńskiego zupełnie bez przygotowania, wcale nie w duchu Kościoła! Ztąd tyle nieszczęśliwych i bezprzykładnych rodzin.

WISŁA.

Szeroko roztoczyła żółte, mętne fale,
Jak dziewica, co do snu rozplata warkocze;
Cichym szmerem rozkosznie czuły duch łaskocze,
W tęsknej nucie drga skarga, wspomnienia i żale...

Tam nad brzegiem , w półmroku, bór szumi ospałe;
Tu gród drzemie; tam wietrzyk z chmurą się szamocze;
Fale garną księżyca promienie przezrocze,
Jak dziecię rozsypane kaliny korale...

Cisza... Słychać jedynie stłumiony szmer miły, —
To rusałka wiślana ciągnie wieczną gadkę...
Rzucam kamyk: toń drgnęła, kilka kropel prysło,

Biegną koła... wciąż szersze... o brzeg uderzyły...
Wracają... nikną... znikły; znowu nurty gładkie,
Jak tafla kryształowa... Kocham cię, o, Wisło!....

Marceli Sachs. . .

Krwawy brylant.

Pod koniec XVII-go wieku mniemano powszechnie, że pokłady dyamentowe w Indyach są już zupełnie wyczerpane. Istotnie, od dosyć już długiego czasu znajdowano tam tylko bardzo drobne kamienie, to też i nadzór nad pracującymi w kopalniach robotnikami był mniej surowy, a zwykła

rewizya, której poddawano ich po ukończeniu dziennej pracy, mniej ścisłą.

Jedną z takich prawie już opuszczonych min dyamentowych była płuczkarnia Parteal, zaniedbana do tego stopnia, że mieszkańcy okolicznych wiosek mieli prawo kąpać się i prać bieliznę w wodach dyamentonośnej rzeczki.

Pewien nędzny paryas indyjski, Kriszna Koroti, skorzystał z tego i ryzykowne, w którem człowiek naraża życie i wystawia się na najokropniejsze tortury.

Po oczyszczeniu okazało się, że dyament waży 410 karatów, Kiszan nie mógł go zatem ukryć ani we włosach, ani w uszach, ani w ustach, a i o połknięciu go — zwykłym sposobie robotników indyjskich — i marzyć nie było można, uciekł się więc do heroicznego wprawdzie, ale jedynego środka, jaki mu pozostawał.



Starzec zręcznie zatopił nóż w ciele.
(patrz artykuł p. t.: „Krwawy brylant“.)

osiedlił się nad jej brzegiem w zamiarze oddania się rybołóstwu. Był on niewolnikiem, ale gdy został kaleką z powodu otrzymanej niegdyś rany w nogę, pan jego przestał się nim zajmować i z czasem zapomniał o nim zupełnie.

Pewnego razu ów biedak zarzucił sieć i ciągnąc ją z wysiłkiem żalił się głośno wielkiemu Bramie, że przychodzi mu to z taką trudnością, gdy nagle ujrzał pomiędzy złowionemi rybami zaplątaną w oku sieci dziwną jakąś bryłkę. Wprawne jego oko wnet odgadło, co zawierała w sobie ta szara stwardniała skorupa, sięgnął więc po nią coprędzej i przekonał się, że ma w ręku olbrzymi dyament.

Kriszna nie mógł naturalnie ocenić prawdziwej wartości znalezionego klejnotu, to jedno wiedział wszakże napewno, że taki połów może uczynić go jednym z najbogatszych ludzi w Indostanie. Cała rzecz w tem, żeby swój skarb odpowiednio zabezpieczyć, lecz w tem właśnie leżała cała trudność. Znaleźć dyament to nic jeszcze, ale uciec z nim — to przedsięwzięcie

Znał on oddawna pewnego starego derwisza, który celował w sztuce przekłuwania sobie nożem ciała, nie wywołując przy tem krwawienia. Przyszło mu też na myśl, że starzec może mu dopomódz, udał się więc do niego, obiecując mu złote góry za wynalezienie sposobu przedostania się na wybrzeże, gdzie mógłby sprzedać dyament jakiemu francuskiemu lub belgijskiemu kupcowi.

Po naradzie zdecydowali obaj, że derwisz zrobi nacięcie na udzie Kriszny i ukryje dyament w głębi rany, która po zarośnięciu stanowić będzie dla niego bezpieczną kryjówkę. Pomysł wydawał się niezawodnym, zabrano się więc natychmiast do wykonania go.

Kriszna poszedł do rzeki po wodę, mającą służyć do obmycia jego rany, a derwisz przysiadł na progu swej nędznej lepianki i zabrał się do naostrzenia o kamień nożyka, będącego jedynem jego narzędziem chirurgicznem. Kriszna powrócił tymczasem, powlócząc swoją kulawą nogę, która i teraz miała być okaleczoną. Ale myśl o tem nie przestraszała bynajmniej biednego paryasa. Oczy jego lśniły radosnym blaskiem, a ręka dotykała z lubością cennego kamienia, mającego w sobie moc uczynienia go nababem.

Z uśmiechem na ustach legł Kriszna na ziemi, zachęcając derwisza do pośpiechu. Cierpienia się nie obawiał, żądza bogactwa nie da mu poczuć bolu.

Starzec zręcznie zatopił nóż w ciele, które ani drgnęło pod tem dotknięciem, ale gdy chciał ukryć w ranie dyament, otwór okazał się za mały. Trzeba było go rozszerzyć i pogłębić, a nawet wyciąć nieco ciała,żeby zamierzoną kryjówkę uczynić możliwą. A nieszczęsny pacyent, uniósłszy się trochę na łokciu, patrzył gorączkowym wzrokiem i z kurczem bólu na ustach na krwawą czeluść, mającą być tymczasową oprawą drogocennego klejnotu.

Dzięki tajemniczym maściom derwisza, po dwóch miesiącach rana się zasklepiła i przedstawiała się już jak ogromna, napół zagojona blizna, a Kriszna ujrzał się w możności spełnienia drugiej części swego planu, czyli udania się na wybrzeże, gdzie zamierzał za drogie pieniądze pozbyć się klejnotu. I nędzarz ten, mający w swem ciele fortunę, przedsięwziął pieszo tę podróż, żebrząc u ludzi chleba.

Kriszna Koroti dotarł do Madrasu, gdzie wsiadł na statek angielski, którego kapitan, niewiadomo jakim sposobem odgadł tajemnicę paryasa. Schwytano go, wypruto mu nożem dyament z uda; poczem ciśnięto nieszczęśnika do morza. Jego morderca, kapitan okrętu, sprzedał krwawy klejnot za cenę 25,000 franków ówczesnemu gubernatorowi Madrasu, Pittowi, od którego nabył go wkrótce rejent Francyi, książę Orleański za bajeczną sumę 2,500,000 franków.

Wspaniały ten brylant, noszący nazwę „Regenta“, przechowuje się obecnie w skarbcu Luwru. Niegdyś stroiła się w niego Marya Antonina; w dzień koronacyi Napoleona zdobił on rękojeść jego szabli, ale najpierwszą oprawą cennego klejnotu była krwawa rana w ciele nędznego indyjskiego paryasa.

Zbieranie orzechów kokosowych.

Wiadomo powszechnie, że „kokosowiec“ jest drzewem palmowem, rosnącem w okolicach podzwrotnikowych, bardzo cenionem z powodu swej użyteczności. Dla Afryki kokosowiec

jest tem, czem bambus dla Azyi, — wszystko z tego drzewa daje cenny użytek: liście, kwiaty, owoce, nie mówiąc już o drzewie samem.

Ale nie każdemu jest wiadomem, z jakiemi trudnościami połączone jest zbieranie owoców z tego drzewa, mającego trzydzieści, a nieraz i więcej łokci wysokości, a zupełnie pozbawionego gałęzi, po którychby do korony dostawać się można. O „strząsaniu“ owoców nie może być mowy, przedewszystkiem bowiem korona drzewa tak wysokiego nieczułą jest na wstrząśnienia; zresztą spadanie owocu ciężkiego, a wielkiego jak głowa ludzka, groziłoby poważnem niebezpieczeństwem temu, ktoby, stojąc pod drzewem chciał strząsać orzechy.



Zbieranie orzechów kokosowych.

Niema zatem innej rady, tylko trzeba włazić na drzewo. Zadanie to niełatwe, ale murzyni wywiązują się z niego z zadziwiającą zręcznością. Najcięższy „osobnik“ idzie najpierwszy; pod ciężarem jego ciała palma pochyla się nieco. Na pochyloną wchodzą inni; a wykonują to w taki sposób, że najzręczniejszy akrobata cyrkowy mógłby im pozazdrościć. Po pionowo stojącem drzewie murzyn wspina się jakby po drabinie ze zwinnością małpy — a porównanie to w wypadku tym nie jest ubliżającem, lecz stanowi najwyższą pochwałę.

Załączony rysunek jest kopią fotografii, zdjętej z natury. Świadczy ona lepiej niż opis o trudności zrywania orzechów kokosowych i o zręczności, z jaką murzyni czynność tę załatwiają.

Słyszałem dzwony....

Słyszałem dzwony, grzmiące dzwony,
Co w wieży hen, wysoko wiszą
I ociężale się kołyszą
I grają smutkiem nieskończonym...

A tak żałosne dzwonów tony...
Ach! One czują ból nasz, słyszą
Te skargi, i rozpaczą dyszą
Te tak ogromnie grzmiące dzwony...

I głos potężny mknie w błękity
Na skrzydłach wiatru hen, do Boga
Niosąc ogromne, straszne skargi,

Niosąc ogromne straszne zgrzyty....
Bo w świecie rozpacz, strach i trwoga,
A ból ogromny ścina wargi....

Spirydon.

O. 1. 11. 1906.

Dobroć.

Wspaniała to cnota — dobroć!...

Każdy chce ją widzieć dookoła rozsianą, każdy chce, by ona wszystko zło płoszyła, a swoją łagodną cichą dłonią rozdawała i spokój i szczęście.

Dlaczego i spokój i szczęście?

Bo gdzie są dobrzy ludzie, tam musi być i szczęście i spokój, bo dobroć nic złego nie spełni, nic złego nie sprowadzi.

Matka pragnie, aby jej dzieci były najlepsze; mąż szuka żony dobrej; panienka wybiera sobie za męża tego, który jej się wydaje dobrym; dzieci pragną i wzdychają o to, ażeby mieć nauczyciela dobrego. Parafianie marzą, aby ich ksiądz pleban był najlepszy; sługa modli się o to, ażeby dostała się do dobrych państwa; rzemieślnik pragnie mieć dobrego czeladnika i tak ciągle i tak zawsze.

Ludzie dobroci szukają, pragną, pożądają, a jednak nie mają jej tyle ile by mieć chcieli, nie znajdują wszędzie tam, gdzieby ją znaleść powinni.

Niechże gdzie przyjdzie nowy lekarz, nauczyciel, albo kierownik jakiejś kopalni lub fabryki, to zaraz się jedni drugich pytają: a czy dobry?

Tego znów koledzy i znajomi pytają: a czy ludzie tam dobrzy?

Więc nie tyle o majątek, o sławę, o rozum troszczą się ludziska i pytają ile o dobroć, bo to rzecz nader ważna — dobroć wśród ludzi.

Przeciwstawieniem dobroci jest złość.

I znowu ludzie się boją i pytają:

— A zły profesor? a zła gospodyni? a zły to człowiek?...

I Chrystus Pan wyraźnie odłącza złych od dobrych, bo powiada: — Dobrzy staną po prawicy, źli po lewicy, ci będą wtrąceni w ogień wieczny, a dobrzy posiędą królestwo niebieskie.

Ludzie dobrzy zupełnie są niepodobni do ludzi złych.

Jak powiada Mickiewicz:

Dobry i zły zarówno chodzą za bliźniemi,
Jeden, żeby ich żywił, drugi, by żył niemi...

Czyż tak nie jest?

Czyż dobry nie żywi wszystkich swą miłością, litością, opieką, wyrozumiałością?

A zły czyż nie czyni krzywdy ciągle i nie ssie ludzi swojemi intrygami, zbrodniami i prześladowaniami?

Mickiewicz dalej powiada:

Dobry człowiek jest król
Szuka kogo wieńczyć,
Zły podobny do kata,
Szuka kogo męczyć.

Lecz niestety, dobrych ludzi jest mało, złych zaś dużo i coraz więcej.

Boli nas bardzo, gdy spotykamy złych ludzi wśród nieprzyjaciół i wrogów naszego narodu, ale jeszcze więcej nas to boli, gdy widzimy złych wśród rodaków i braci. Wtedy chciałoby się płakać gorzkiemi łzami i smucić niepocieszenie. Bo cóż poczniemy, gdy złych mieć będziemy w około i oni nas przygniotą i przydepcą?...

Trzeba coś czynić i robić, ażeby ludzie stawali się dobrymi, trzeba znaleść ratunek i lek, ażeby złych wytępiać.

Na to jest jedyna rada — wycho-

wanie dzieci. Starych już nikt nie przerobi, nie nagnie, nie zmieni.

Dzieci dadzą się kierować, naginać, wychować i dobrzy z nich mogą być ludzie, jeżeli rodzice o to się troszczyć będą, ażeby dzieci nie tylko karmić i odziewać, ale i wychowywać.

Kto sobie powie:

— Chcę żyć tak, aby życie moje było zgodne z prawami Boga, nie czyniąc źle, będę się starał jeszcze o dobre czyny, będę tak postępował, abym nikomu przykrości nie wyrządził, ten może siłą woli pokonać w sobie wady, a w dobroć rosnąć z dniem każdym.

Siłą woli — wiele można zrobić.

Ale też taka dobroć tylko wymuszona, tylko wywołana siłą woli, a nie z serca pełnego miłości płynąca, nie bywa ową dobrocią słodką i serdeczną, która jak balzam cudowny goi rany i leczy blizny.

Prawdziwa dobroć musi mieć początek w sercu, a nie w rozumie; w miłości, a nie w woli. Człowiek dobry, bardzo dobry, nawet najlepszy, musi być przytem i rozumnym człowiekiem, bo dobroć bez światła jest jak wóz bez woźnicy.

Być bardzo dobrym i tylko sercem się kierować, to znaczy być głupim. Być bardzo rozumnym, a znowu w sobie serce zagłuszyć, to znaczy być złym. Dobroć z rozumem, a rozum z dobrocią muszą się koniecznie jednoczyć i w całość splatać.

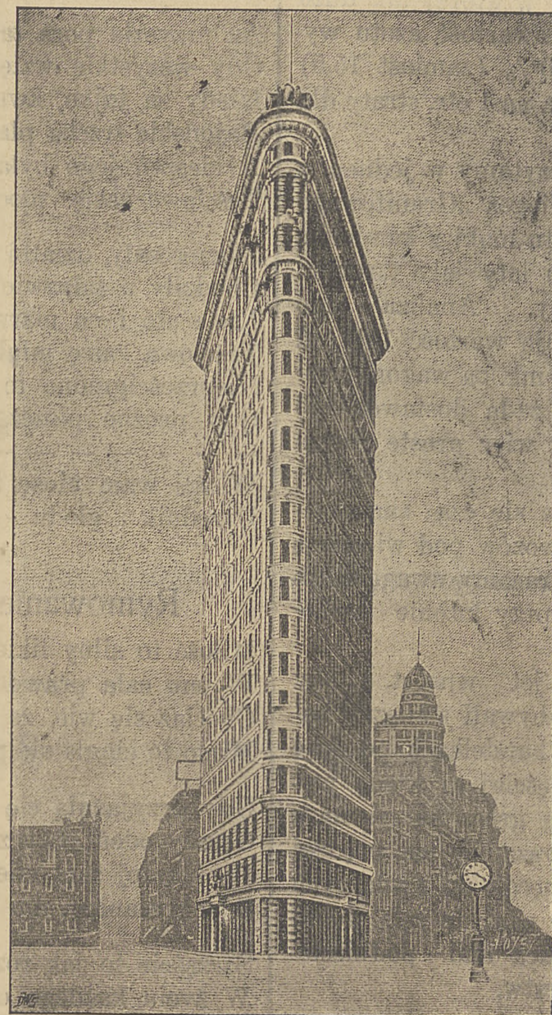
Gdy rodzice wychowują dzieci zanadto ostro i surowo, bez miłości i ciepłej troskliwości o wzbudzenie w ich sercu dobroci, rośnie młodzież zimna jak lód, twarda jak głaz, a serce jej bywa kamienne.

Gdzie przeciwnie, rodzice zanadto dzieci pieszczą i wychowanie tylko sercem prowadzą, wyrastają potem tacy ludzie, którzy nie pytają o przyszłość, ani o to, czy będzie to roztropne, co czynią, tylko się na wszystko godzą i wszystko oddadzą i za każdym głosem pójdą i do każdego się zbliżą, byle się tylko nikt nie gniewał, byle nikt się nie obraził, byle tylko komu nie było przykro. *Iskra.*

(Dokończenie nastąpi).

Dom o 20-tu piętrach.

Gdy mowa o domach niezwykle wysokich, na myśl przychodzi zaraz Ameryka i jej wielkie miasta. Ceny placów są tam tak szalenie wysokie, że właściciele starają się w możliwy sposób wyzyskać każdy kawałek ziemi. W roku 1902-im stanął w Nowym Jorku, na rogu Broadway i Fifth Avenue dom, mający prócz parteru, 8 metrów wysokiego, jeszcze 19 pięter, po 3,90 m. wysokości. Cały dom zatem, nie licząc piwnic, ma 82 metry wysokości. Mury tego olbrzymiego gmachu, od dołu aż do szczytu, opierają się o wiązanie żelazne, a są tak silne, iż mogą oprzeć się najgwałtowniejszym huraganom. Według obliczenia technicznego mur ten wytrzymuje ciśnienie 224-ch kilogramów na metr kwadratowy. Gmach cały stoi na placu, mającym formę trójkąta; dwa boki frontowe mają po 70 metrów szerokości, tylna zaś ściana, dotykająca innych budowli, ma 25 m. u podstawy. Woda, znajdująca się w ogromnych zbiornikach pod dachem, rozprowadzona po całym budynku, zabezpiecza w razie pożaru. W urządzeniu wewnętrznem tego niezwykłego gmachu zastosowano wszystko co tylko technika nowoczesna wymyśliła ku wygodzie lokatorów.



Dom 20 piętrowy w Nowym Jorku.

Złote myśli.

Najlepszym środkiem poznania ludzi jest milczenie, należy mówić to tylko, co konieczne i niezbędne.

Talleyrand.

Przestroga dla rolników,
dotycząca
zakupna sztucznych nawozów.

Mimo, że przy każdej okazyi przypominamy, aby tak sztuczne nawozy jak kupną paszę poddawano badaniu na stacyi doświadczalnej, nie dzieje się to jeszcze ogólnie. W zeszłym miesiącu np. mieliśmy w ręku analizę chil. saletry, za którą policzono rolnikowi 12 mk. za 100 funt., a która miała wartości tylko 70 fen. To już przechodzi wszelkie granice! W ten sposób dostawcy się bogacą nieuczciwie, a rolnik może iść z torbami, w każdym razie traci zaufanie do sztucznych nawozów, które tak są pożyteczne, a do których tak trudno jeszcze nieraz nakłonić zwłaszcza mniejszych rolników. W następnem podajemy sprawozdanie prof. Wagnera, wykazujące, ile to nieuczciwości zachodzi w handlu sztucznymi nawozami!

W kainicie np. mnóstwo prób wykazało w z. r. zawartość tylko 10°/₀ potasu, a przecież kupuje się go zwykle przy rzekomej zawartości 12,8°/₀. Wyjątkowo tylko spotykał prof. Wagner w kainicie także do 18°/₀ potasu, ale to są rzadkie wypadki. Taksamo t. zw. wysokoprocentowe (40°/₀) sole

potasowe w większości wypadków zawierają potasu 36% tylko, a rzadko 44—45%. Niem. Tow. Roln. donosi, że w 178 próbach kainitu, 27 wykazały tylko 11% a 7 prób nawet tylko 9% potasu.

Stacya dośw. izby roln. w Poznaniu przed kilku tygodniami badała próbę saletry chil., w której tak dużo było kainitu, że zawartość azotu wynosiła ledwie 11,90% (zamiast 15,5) — to czyni do 3 mk. na 1 ctr. straty dla rolnika.

Obecnie znów czytamy w jednem z pism polecenie jakiegoś „Granitowego proszku“, po prostu mąki z kamienia, co już przed kilku laty jako „szwyndel“ zwalczaliśmy. Analiza tego „Granitu“ wykazuje wartość $15^1/_2$ f. za 100 kg. czyli 15 mk. za wagon, tymczasem za wagon żąda dostawca 125 mk. Zachodzi tu więc proste oszustwo!

Ponieważ zbliża się czas zamawiania sztucznych nawozów pod wiosenne zasiewy, przeto zwracamy uwagę na ostrożności, jakie przy kupnie zachować trzeba.

Niemożliwem jet wprost, aby mniejsi rolnicy nabywali sztuczne nawozy po małych handelkach po parę centnarów. Najczęściej są wtedy wyzyskani, wyrzucają grosz na marne a co przytem najgorsza, że się prędzej czy później zniechęcą do sztucznych nawozów i na nic zda się cała dotąd podejmowana praca nad podniesieniem ich gospodarstw.

Zaleca się walczyć przeciw temu: 1) Przez wpływanie, aby wszyscy włościanie przystąpili do Kółek rolniczych. 2) Przez zachęcanie do czytania pism rolniczych, które stale i dostatecznie informują czytelników pod każdym względem, jak się mają bronić przed wszelkim wyzyskiem.

Skoro przy pomocy ludzi, mających wpływ na włościan naszych, potrafimy w czyn wprowadzić powyższe dwa warunki, osiągniemy jedno z najważniejszych zadań ekonomicznych.

Humor i satyra.

Straszna tragedya

nieprawdopodobna a jednak prawie prawdziwa.

Tragedya straszna i — niesłychana!
Stała się właśnie dzisiaj z rana!

— — — — — — — — — — — — — —

Urzędnik, coś w ostatniej randze
Żywiący bardzo liczne dziatki...
Przeciwko takiej trosk falandze,
Kiedy go gniotły niedostatki
Rozbijał o mur nieszczęść — głowę...
A na dobitek miał teściowę.

A miał teściowę: tłustą babę,
Co wżdy od rana do wieczora
W to urzędnicze cielsko słabe
Biła taranem z jej ozora.
A on nad sobą te znęcania
Spokojnie znosił, bez szemrania.

Aż przyszła pora ta dla człeka,
Gdy wszystkie wzięły w łeb rozumy,
Kiedy za jajko, kwartę mleka,
Bajońskie trzeba płacić sumy...
A kieszeń jego była pusta...
Teściowa zasię: mocno tłusta.

Skwierczały dziatki nieboraki,
Chodziły z załzawioną rzęsą,
Nie stało i na marne flaki!...
Teściowa zasię miała mięso...
Nieprześcignione to ponęty,
Gdy próżne piszczą trzewiów skręty.

— — — — — — — — — — — — — —

Wieści wam niosę hiobowe:
Urzędnik z głodu — zjadł teściowę!

* * *

Rymowanie z nudów.

Miłość to silny likier
W tem cała prawda się kryje,
Chociaż się wie, że trujący,
Mimo to ciągle się pije!

Gdy przyjaźnią cię kto darzy
Groszy odeń pożycz zaraz,
Bo inaczej sam mieć będziesz
Z pożyczaniem mu ambaras!

Szczęście to jak rozpustny chłopak
W życiu każdego człowieka,
Zapuka do drzwi twoich z lekka
I jak najprędzej ucieka.

* * *

Niewymagająca dama.

— Panie radco, niech pan, jako gospodarz rautu przedstawi mi tych panów.

— Ba, kiedy nie wiem, jak się nazywają?

— Wszystko jedno, bąknij pan pod nosem byle co...

* * *

Nasze panie.

— Jakże poszła kwesta w tym roku?

— Doskonale: Mania znalazła dwóch naraz konkurentów. O, ona ma szczęśliwe oczko!

— A ja, niestety, nie mogłam kwestować w tym roku, gdyż krawcowa nie wykończyła mi sukni!

* * *

Sumienny.

— Nie rozumiem, po co targowałeś się tak długo z krawcem o garnitur? Przecież tak czy inaczej, nie zapłacisz mu wcale!

— Człowieku! jać mam przecież sumienie; już jeżeli ten biedak ma tracić na mnie, niechże strata będzie najmniejszą!

* * *

Zadowolony.

A. Dawno pana niewidziałem.
B. Prawda dawno.
A. Już z powrotem?
B. Już.
A. Zadowolony pan?
B. Ogromnie!
A. Gdzie pan wyjeżdżał?
B. Na dworzec... odprowadziłem żonę.

* * *

Za kulisami.

Ona. A Irena po drugim akcie dostała brylantowe kolczyki od swego wuja.

On. Hm... hm... Albo to fałszywe brylanty, albo ten wuj nieprawdziwy.

Zagadka.

Kwadrat magiczny.

a	a	a	a
a	a	d	d
d	d	g	m
m	r	r	u

1. Opad.
2. Metal.
3. Imię.
4. Kobieta.

Rozwiązania nadsyłać należy najpóźniej do dnia 22-go grudnia r. b.

Rozwią a ie szarady z nr. 48-go:

Pogrom.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. Karol Śródecki, St. Bresiński, Pelagia Woźnicka, *z prowincyi:* pp. Irena Szałkowska z Kozłowa pod Trzemesznem, Józef Szperkowski z Pożarowa, *z Prus Zachodnich:* p. Ednund Kleina z Subków, *ze Śląska:* pp. Jadwiga Badura z Roździenia, Karol Reck z Chrościc, Janina Mierswa z Wrocławia, *z Galicyi:* pp. F. Lichwa z Pnikucia, Marja Zborowska z Andrychowa; *z ob zyzny:* pp. Ignacy Piotrowicz z Alstaden, Jan Springer z Laar.

Nagrodę otrzymali: p. p. St. Bresiński z Poznania, K. Reck z Chrocic, Ignacy Piotrowicz z Alstaden.

KAZIMIERZ GLIŃSKI

GADY.

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

Noc wczesna okryła świat, wicher dął, zimnica się wzmagała, a że wedle gospodarstwa zrobione już były porządki wszystkie, cniło się parobkom i dziewuchom po próżnicy siedzieć, gzili się więc a weselili, w czem ani ukrzywdzenia, ani obrazy nijakiej nie było, bo każde swawoleństwo miarę swą miało, a i starsze ludzie do nijakiego zbereżeństwa nie dopuszczali. Psy jeno ziewały a wyciągały się ze skowytem, poszczekując od czasu do czasu, co więcej z przyzwyczajenia niż konieczności czyniły, bo ani wilki nie wychodziły jeszcze z lasu na rozbój niegodny, ani zły cziek do dobrze strzeżonego obejścia nie mógł podejść. Byle zmrok, wnet zamykano bramy i furty, z wrzeciądzów spuszczano psy stróżliwe a złe, jako teściowe, zawżdy coś do zięciów swoich mające, ostrokoły zresztą, rowami opasane, strzegły przed wszelaką przygodą niespodziewaną, a że tam to sam i kawał strzelniczego muru z zarośli się wychynął, abo basztka okrągła, gdzie kusznik lub łucznik sprawny przesiadywali — dom pana Floryana, ni to mała forteczka wyglądał i czasu wojny nawet większe nad inne, bezpieczeństwo miał, a cóż, gdy nic pokojowi nie groziło.

Wiatr gwizdał, skowytał i czasami, jako złodziej drzwi domostwa podważał, abo gmerał się w dachu poszwie słomianej, jako to gospodarze czynią, feleru w robocie szukający, aż mrowie po krokwiach a wiązaniach chodziło — to znów go złość jakaś napadała, porywał się, targał, szumiał, z dzikim łoskotem po dachowisku przebiegał, o komin łbem walił i do dymnika wpadłszy, wyl ni to potępieniec jaki, że parobczaki gzić się przestawali, dziewuchy, zestrachane kieby owce, tuliły się do siebie, jeno dziady poważne i baby nabożne a złych duchów się bojące, krzyż Pański na piersi kładły, szepcząc mamrotliwie:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!...

— To ci wiatr!... — mówiła pani Maciejowa, Zarudyńska z domu a Pogorzelska po mężu nieboszczyku, ciotka pana Szarego, w leciech już podeszłych niewiasta, siedząca w izbie gospodarskiej przy stole i zwolna, jako obyczaj każe, piwną polewkę z misy polewanej łyżką lipową nabierając, którą ocierała o brzeg naczynia i do ust ochędożnie niosła. — To ci wiatr!... — powtórzyła, na pana Floryana wzrok podnosząc, który naprzeciw niej siedział, wąsy opuścił, łeb zwiesił, policzki wydął, markotny jakiś, nie swój, i choć po izbie rozchodziła się miła woń piwa grzanego, żółtkiem i śmietaną zaprawionego suto; choć słodki twaróg białością nęcił a powonienie łechtały grzanki z świeżo co osuszonego razowca — nie tknął jadła i zdawało się, że ani słów pani Jagnieszki ani skowytu wichru nie słyszał. Łagodne oczy a jasne, jak niebo wiosenne, przed się utkwił, a troska jakaś dwiema dużemi bruzdami zorała mu czoło.

Dziwnie smutek ony wyglądał przy krępej postaci pana Floryana, przy bliźnie rycerskiej, która zawaliła mu pół czoła i przez skroń do ucha lewego przeszła; dziwnie ten smutek a melankolia wyglądały w izbicy onej, której ściany od smolnych drzazg okopcone, świeciły migotliwym blaskiem toporów i mieczów poszczerbionych, dzid rdzawych i tarcz pogiętych, które świadkami były, że ani on ani jego ojcowie, nie wylegali się w puchach miękkich, jeno swe zdrowie a krew zacną nieśli braciom a miłej ojczyźnie w ofierze. Takich nie złomi strach a smutek nie powali, melankolia pod drzwiami nie zatrzyma: ma-li wejść, czy tył podać, namyślając się długo?... A nieodrodnym synem praojców swoich był pan Szary: świadczyły o tem i siodła zdobyczne, które na kozłach w rogach izby stały, i rdzą jeszcze nie zjedzone a pęknięte dwa miecze krzyżackie, i łoże twarde, siwym wilkiem pokryte, i sprzęty z dębu twardego bez miękkości siedzenia, jako przystało rycerzowi prawemu. A oto zmarkocił się i zadumał, że ani słów pani ciotki, ani pogwizdywań wichru nie słyszy.

Niewielki miał wzrost, ale zbity był w sobie, jako rumak z polskiego stada pochodzący, o barkach rozrosłych, karku twardym, głowie okrągłej, włosach równo na czole uciętych a z tyłu podgolonych nieco, przytem otyły był dosyć, co mu nie nadawało rycerskiego wyglądu, a gdy się uśmiechnął, to jakaś dobroduszność serdeczna z uśmiechu tego patrzyła, jakaś niewinność pacholęca, nie licująca cale rycerzowi na kresach ziem krzyżackich osiadłemu. Usta pełne miał a szczerego koralu barwy, nos gładki i równy; jeno jasny, sumiasty wąs wysypał się uczciwie i dwiema wiechami ku dołowi się zwieszał. W szarą kapotę odzian był, której podwinięte obie poły za pas skórzany założył, plecyma się oparł o zydla poręcz drewnianą, przeświecającą na wylot sercem wyciętem.

— Obwiesił się ktoś, abo niezbożność jaka na świecie się uczyniła, że wichr dmie taki nieumiarkowany — zaczęła znów pani ciotka.

— A niech tam!... — odmruknął pan Floryan.

Westchnął, wziął łyżkę, pogmerał w misce, parę razy do ust podniósł i znów jeść przestał, w zadumanie jakieś popadając. Nie strzymała teraz pani Jagnieszka i zapytała wręcz:

— Florku! co tobie, żeś taki nie swój?...

— Albo nie wiecie?

— Czego się smęcić, wżdy o rękę panny nie prosiłeś jeszcze, a wiemy, że rodziciele krzywi nie będą.

— Co mi potem, gdy z dziewką do ładu nie można przyjść.

— Mówił-żeś jej...

— Nie!

— To jakże?

— Albo to ozór wystrzępić potrzeba, by poznać, jako jest?

— Cóż ona?

— A no — nic!

— To jakże?

— Ciężko mi, pani ciotko — i już widzi mi się, że potrza nadzieje wszystkie na kołku zawiesić, na Krzyżaki pójść, jak tylko jaka okazya się natrafi i raz już zakończyć z onym żywotem mizernym.

— Bójże się Boga!... — zawołała pani Jagnieszka, łyżkę do misy opuszczając, aż chlupnęło.

— Albo to źle tak skończyć rycerzowi prawemu?

— Jużci, że źle, bo żywota chcesz zbyć się niekoniecznie z posługi dla ojczyzny, jeno przez dziewkę, o której nie wiesz sam, miłuje czy nie miłuje.

— Jako nie wiem?... — zawołał pan Floryan. — A wżdy, gdybym nie wiedział, iże serca do mnie nie ma, tobym nie lamentował tak, jako widzicie, a jeno słońcem wiosennem patrzał, piwo zaś grzane, które nieumiarkowanie lubię, nito pies bym chłapał!...

— Prawdać to! — westchnęła ciotka. — Twaróg nietknięty, grzanki ostygły...

— Widzicie tedy, że umartwienie mam.

— Ale — zaczęła znów pani Jagnieszka.

— Powiadajcie... śmiało! Wżdy okrom was bliższej sercu swojemu nie mam. Nie jąkajcie się, przeciech nigdym wam słowa nie odebrał i niepokazał nieukontentowania żadnego. Powiadajcie, co macie?

— O Jewkę chciałam ciebie jeszcze popytać...

— Aż mi srom, by tak się w podwice zadurzyć! wedle szczerości powiadam to wam, pani ciotko!... Bych był nie urodził się lepiej, niżby na takie zmizerowanie się przyjść miało, a tu ani snu załapać, ani jednego dnia bez tęschnoty przeżyć. Urok rzuciła a miłowanie, sama miłowania a tęschnoty nie znająca!...

— Mówił-żeś z nią?

— Jakto mówić, kiedy przystępu niema!

— To jakże?

— Pytacie wciąż, bom się wam nie ze wszystkiego jeszcze wyspowiadał... Wysłuchajcie, a sami wtedy powiecie, żem zatraceniec nieszczęsny. Niedziel temu dwie, uśmiechała się jeszcze i zda się rada była, żem coraz częściej Zapadyńce nawiedzał. Aż dziwno mi było, żem się tak rozgadał dnia tego. Mówiłem jej o klaczy srokatej, którąm latoś u pana Szamotulskiego kupił, o psach miotu przeróżnego i o różnych podobnych rzeczach. Pan ojciec i pani matka zrozumieli snadź, iże kołuję, i kiedy niekiedy ostawiali nas samych, ten niby do gospodarstwa a ta do kuchni idąc, i panna za piec nie uciekła, chociem o dwa kroki siedział przed nią i mlił coś językiem. Nie mówiłem ci wprawdzie nic o gorącości serca mojego, bo dech mi się w piersi zaparł, jej także...

— To właśnie potrzeba było mówić — przerwała pani ciotka.

— A wżdy musiałem niewinność jej uszanować i rumieńce uśmierzyć, które na jej jagódkach wykwitały różami pełnemi, zresztą coś mnie nogi odjęło a febra zaczęła trząść, a tu i pani matka kluczami zabrząkała i buty pana ojca zaskrzypiały. Czasu nie było do wywnętrzenia się — ot co!

— I długoście tak w samodwoje siedzieli?

— Godzinę albo i dwie...

— Bój-że się Boga, Florku!... Toż można było... nie wiem już sama co — przez ten czas zrobić... — zawołała pani Jagnieszka.

— Dobrze to mówić tak białogłowom, gdy na nas cała fatyga, a poty bijące idą. Ale nic jeszcze niemiłego nie stało mi się, i panna pożegnała mnie, jako zawżdy, uśmiechnięta i rozweselona, pytając, prędko-li znów Zapadyńce nawiedzę? I otom nawiedził dziś — i widzicie, pani ciotko, że zemrzeć mi się chce...

—Dlaczego ci takie myśli pogrzebne do głowy przychodzą, dlaczego, Florku? — zalamentowała pani Jagnieszka.

— Dlaczego, pytacie?...

— Dałaż ci dziewka odkosza?

— Kiedym jej nic a nic, o tem, żem chciał, by moją była, nie prawił.

— Jakże to?...

— Pytajcie wolej, czy uśmiechnęła się, czy powitała mnie tak, jako dwie niedziele temu? Pytajcie wolej, czy teraz rodzic jej i mać ostawili już nas samo we dwoje, czy na twarzy jegomościa nie znać było nieukontentowania jakiegoś, a jejmość pani matka czy mu ciegiem w oczy nie patrzyła? Zauważyłem ci dobrze, że kiedym wszedł do izby, to taki się popłoch uczynił, jakby zły człek się pojawił, nie somsiad znajomy, a ziemianin i brat. Panna jak pliszka ona porwała się, gdy kobuz zakołuje w powietrzu — i chciała zbiedz, aż ją jejmość za fartuch ułapiła, jegomość łeb siwy gładził, a z nogi na nogę przestępywał, to na mnie, to na pannę Jewkę patrząc, jakby nie wiedział sam, ma-li mnie otworzystem ramieniem powitać, czy cebrem wody zimnej oblać? Frasunek a zamieszanie znać było, ale pan ociec jakoś poćciwie się znalazł i godnie mnie powitał, i jejmość udobruchała się wprędce, jeno ta, o którą mi chodziło najbardziej, ta Jewka moja, sercem cała umiłowana, ni razu na mnie nie spojrzała, to na drzwi od alkierza, to na piec modraki swoje zwracając. Ślozy w jej ślipkach się kręciły, a była zła, że z ledwością strzymać się mogła. Wiedzcież teraz pani ciotko, dla czegom dobry, jako żmij, gdy mu na łeb nastąpią.

Wąsiska gryźć począł, wargi zacinać a oczy mu zaszły dwiema kroplami rosy jasnej. Znać było, że mocował się z bólem dusznym, a nie chciał, by białogłowa, siedząca przed nim, choć to była siostra rodzona macierzy jego, dostrzegła oną słabość małomęską. Pokrząkiwał tedy, choć do krzyku a włosów targania chęć miał większą.

Pani Jagnieszka nie odpowiadała już nic, jeno coś deliberować a medytować zaczęła, wreszcie uśmiech łagodny zwiędłe jej usta poruszył, rurkowany czepiec poprawiła na głowie, spojrzała na pana Floryana i rzekła w ten sens.

— Mi się widzi, Florku, że ty nie utrafiłeś w sedno...

Pan Floryan głowę podniósł — łzy na kapotę spadły.

— Mi się widzi, że ty nie umiesz do dziewek się brać...

Zdumienie odmalowało się w oczach pana Szarego.

— Czterdzieści lat masz bez mała, a praktyki nijakiej!

Pan Floryan usiadł i utkwił wzrok w ciotkę.

— Nie patrzaj tak na mnie, jako chłop w obraz święty, cudu przemówienia czekający. Nie cud to będzie, jeno całe zwyczajna rzecz i z własnego żywota na ten przykład ci pokazana. A oto tak.

Umilkła na chwilę, zebrała myśli i zaczęła:

— Wieta może czy nie wieta, boć może i nie wspominał wam cześnik nieboszczyk, a ś. p. rodzic twój, że czasu młodości mojej udatna była dziewucha ze mnie i lico nie byle jakie miała, i one oczy, zmętniałe teraz, przekomarzały się z lazurem niebieskim. Samo niebo nie wiedało, gdzie było błękitu więcej, i chmurzyło się częściej i posępnością patrzyło, gdy u panny Jagny Zarudyńskiej, oczy wieczystą modrzyły się pogodą, niekiedy jeno jasną łzą zapływając. „Dziw dziwów — powiedał mi gładysz niejeden. — W oczy wasze patrząc — niebiosa widzę, w niebiosa patrząc — widzę oczy wasze!“ Ot, takie było gadanie ludzkie, a musi być prawda w tem była, bo kręcili się wedle mnie gaszkowie różni, z mienia i imienia rycerzy prawi, na ojcowiźnie ludzie osiadli od wieka, i włóczęgowie nieznani z krain zamorskich i kmiecie na królewskich ziemiach siedzący. Ale żaden nie wpadł do duszy, rodziciele zaś nie nastawali, bom już jedna ostała u nich a i lat jeszcze nie miałam do uczynienia woli Bożej zadosyć, a choć i lata przyszły, nie spieszyło mi się w świat pomiędzy ludzie iść obce. Wprawdzie, że z onych wszystkich starających się jeden tylko był Jaśko z Zielonego Ostrowia, który najbardziej mi się spodobał, ale nie do tyla, bym zaruśko i do ołtarza z nim poszła. Bywał-ci także u nas, z powodzeniem najlepszem, i pan Maciej z Pogorzela, alem już najmniej patrzyła na niego, bo i gładkości, jako inni, na jagodach swych nie miał i samochwalić się lubił, że to mocny w ramionach był i innym na pięty następował. Już ten i ów niejedno łaskotliwe słówko w ucho mi rzucił, a mówił, a przysięgał, że — niby do obrazu świętego — modlić się do mnie będzie; ręce jako do pacierza składali i zawodzili nieraz, na złą dolę swoją narzekając; odjeżdżali to przyjeżdżali, z połowy zawracali drogi, a żem ci trochę płocha była, każdemu z kawalerów owych źdźiebko nadziei rzucilam, sama nie czując nic, Jaśkowi najwięcej, bo co do Macieja, to nawet nie spojrzałam na niego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Boże Narodzenie.

„Album Pracy".

Drukiem „Pracy."